



## PROLOG

**4 września 2111 roku**

*godz. 8.20 czasu miejscowego*

Nad horyzontem pojawiła się pierwsza zapowiedź świtu. Ciemność na wschodzie poszarzała a blask gwiazd przyblakł. Nad zmrożoną powierzchnią powoli wychodziła odległa, gorejąca kula Alfa Centauri B. Pierwsze żółto-pomarańczowe promienie padły na surową powierzchnię planety. Noc ustępowała powoli i opornie, jak zwykle w pobliżu równika a wyłaniające się z niej karłowate krzewy wydawały się większe. Długie cienie padały na zmarznięty grunt. Długie języki szronu ciągnęły się aż po horyzont, błyszcząc niczym gigantyczne kryształowe kolie. Pośród grupy wysokich krzewów stał nieruchomo grubo odziany człowiek, znaczący rzadką atmosferę nikłymi obłokami pary. Spoza śniegowej maski zintegrowanej z aparatem do wzbogacania atmosfery widniały tylko niebieskie oczy otoczone siatką zmarszczek. Z zachwytem wpatrywał się we wschodzącą gwiazdę, która właśnie odebrała się od horyzontu. Wspaniałego widoku nie zakłócała atmosfera, przejrzysta jak zawsze na Rigil Prime. Człowiek pokręcił głową i ustawił przyrządy naukowe, porównując w myślach niepozorną gwiazdę ze Słońcem. Ta, na którą patrzył, Alfa Centauri B nie miała oczywiście szans w tym porównaniu. Jej światło, żółć wpadająca w czerwień tworzyło niepowtarzalne wzory na powierzchni, jakże inne od ziemskich. Nad linią widnokregu pojawiła się kolejna gwiazda, widoczna mimo poranka. Towarzysz gwiazdy centralnej – Alfa Centauri A gonił swą są-

## Incydent...

---

siadkę, widoczny jako oddalony krąg światła, sześćkrotnie większy niż Wenus widziana z Ziemi. Człowiek ustawił instrumenty i na moment zapatrzył się tęsknym wzrokiem na nowy element nieba. Tamta gwiazda świeciła nawet silniej od Słońca, ale Rigil Prime był na tyle daleko, by nie uzyskiwać z tego źródła nawet odrobiny ciepła. Srebrzysty kobierzec szronu zaczął znikać w miarę jak gwiazda centralna wznosiła się wyżej na niebie. Temperatura powoli rosła przekraczając zero stopni Celsjusza i wtedy dopiero człowiek ruszył z powrotem, raz po raz oglądając się za siebie. Przywykł do tej ciszy, tego spokoju, jakże odmiennych od przepełnionej ruchem i jazgotem Ziemi. Gdy piętnaście lat temu opuszczał układ Słoneczny, takiego życia jak na Rigil Prime mógł zaznać tylko wirtualu. Sztucznym, udawanym i mocno nieprawdziwym. Ta planeta też miała się kiedyś zaludnić setkami tysięcy ludzi i zacząć przypominać Ziemię. Na dniach miał się pojawić FSS „Autumn” niosący przeszło trzy tysiące kolonistów. Szeroki pas wokół równika był wolny od lodu i liczył ponad siedem tysięcy kilometrów, więc miejsca było pod dostatkiem dla przyszłych mieszkańców. Twarz mężczyzny rozjaśniła się w uśmiechu, kryjącym się za maską. Gdy ta planeta zmieni się w drugą Ziemię, on ruszy dalej wprost ku nowym gwiazdom, ku kojącej pustce. Oczom wędrowca ukazała się niezbyt wysoka, konstrukcja bramy zbudowanej z pni karłowatych roślin. Od niej ciągnęła się niska zaporą podbudowana wałem z wiecznej zmarzliny. Głębiej widniały swojskie budynki z prefabrykowanych elementów. Mimo, że tworzyły je kompozyty o podwyższonej wytrzymałości, szare powierzchnie znaczyły rysy powstałe w czasie gwałtownych, wiosennych burz, jakie pustoszyły równikowy pas Rigil Prime. Wędrowiec stanął przy bramie i zerknął na płytę, na której ktoś niezgrabnie wymazał treść „Price

## Incydent...

---

Town - 236 mieszkańców". Przeszedł pomiędzy szerokimi, stalowymi szynami, po których wieczorem toczyła się główna brama wyglądająca jak monstrualny pług, zasłaniający wejście do kolonii, obszedł bokiem potężne okutą górę stali i skierował się w stronę budynku jaśniejszego w oddali, który przypominał uciętą w połowie kulę o średnicy niemal czterdziestu metrów, pierwsza stała konstrukcja, jaka pojawiła się na powierzchni tej planety. Przy stojących obok budynku, gąsienicowych, odrapanych wszędołazach pracowało kilku ciepło ubranych techników. Pozdrowili wędrowca uniesieniem dłoni i wrócili do zajęć. Odwzajemnił ich gest, stanąwszy przy ledwie widocznych drzwiach prowadzących do wnętrza kopuły. Prawą dłoń położył na szerokim, płaskim przycisku. Hydrauliczne siłowniki z jęknięciem uniosły w górę główne drzwi centymetrowej grubości, ukazując drugą ich parę, otwartą i podpartą stalowymi kolumnami, na których widniały rdzawe zacieki. Śmiało je przekroczył, ściągając z twarzy maskę przeciwsniegową. Termostat sterowany przez automatyczny system klimatyzacyjny stopniowo zwiększał temperaturę by osiągnąć przepisowe dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza rozchodzące się falą w niewielkim pomieszczeniu przejściowym. Wędrowiec westchnął głęboko i rozsunał tytanowy suwak skafandra. Ciepło powoli wkradało się pomiędzy termodynamiczne tkaniny okrywające ciało, które dopasowały temperaturę do wymagań zadanych przez ich właściciela. Spod kaptura wyłoniły się krótko ścięte, szpakowate włosy i poważna wydłużona twarz mężczyzny. Szczupłą, długą ręką powiesił skafander w szerokiej szafie, obok kilkunastu innych, gdy usłyszał nadbiegającą postać. Odwrócił się w stronę wewnętrznych drzwi ciśnieniowych dzielących go od wnętrza kolonii akurat w chwili, gdy z sykiem siłowników hydraulicznych otworzyły się i stanę-

## Incydent...

---

ła w nich niska, krępa brunetka, mająca najwyżej trzydzieści lat. Jej twarz, poraną bliznami po oparzeniach radioaktywnych rozjaśniał szeroki uśmiech, gdy mówiła pośpiesznie.

- Dyrektorze Emmerich, mamy wiadomość z „Autumn” sprzed dwunastu godzin - oparła krótkie, szerokie dłonie na gładkiej, obłej futrynie drzwi. Złapała oddech i ciągnęła dalej, zachęcona kiwnięciem głowy mężczyzny, który ukradkiem zerknął na pokaźny biust ukryty pod bluzą i plaketkę z jej imieniem i nazwiskiem „Andrea Sullivan”.

- Wchodzą na wydłużoną orbitę podrózną wokół Tolimana. Do przebycia mają nie więcej niż osiemdziesiąt jednostek astronomicznych<sup>1</sup>. - dyrektor odwzajemnił uśmiech kobiety. Dotąd z niechęcią myślał o kolonistach, ale teraz, gdy za niespełna trzy miesiące, Price Town miało się wzbogacić o kilka tysięcy wybitnych naukowców i inżynierów, poczuł głęboką satysfakcję, mogąc ich przywitać w osadzie a nie na ubitej ziemi. Do tej pory wydzielali niesfornej planecie metr po metrze, przy pomocy kilku maszyn i sił nielicznej załogi przygotowując grunt pod prawdziwą kolonizację.

- Idźmy zatem wprost do centrum operacyjnego lotów - wskazał smukłą dłonią na otwór drzwi jaśniejący za plecami asystentki. Weszła do wąskiego korytarza, ciągnącego się aż do końca budynku i zrobiła miejsce zwierzchnikowi, który przeszedł obok i podążył ku windzie znajdującej się niemal na samym środku korytarza. Bez słowa dotarli do białej, kompozytowej, odkrytej kabiny, dziewczyna weszła pierwsza i Emmerich nie mógł się oprzeć, by nie zmierzyć jej figury wzrokiem. Chwilę później pomknęli w górę, gdzie krzyżowały się wszystkie linie informacyjne i energetyczne kolonii, do prawdziwego serca Price Town. Winda z cichym brzęczeniem nad-



## Incydent...

---

przewodnikowych magnesów zatrzymała się u szczytu budynku. Nad częściowo przezroczystą kopułą jasno świeciła Alfa Centauri B, a wraz z nią jej większy, ale znacznie odleglejszy towarzysz. Centrum operacyjne przypominało miniaturkę płaskiego stadionu o średnicy niespełna dziesięciu metrów. Środek zajmował spory wyświetlacz holograficzny aktualnie przedstawiający cały wolno obracający się układ Alfa Centauri. Dookoła nieregularnie rozrzucone były stanowiska operatorskie, które w tej chwili były niemal puste. Emmerich z westchnieniem ulgi usiadł w wygodnym, szerokim fotelu a oparcia dostosowały się do kształtu jego ciała. Przed dyrektorem pojawił się indywidualny ekran holograficzny, który zaświetlił danymi. Dłonie Emmericha ułożone na szerokich oparciach zaczęły wykonywać drobne ruchy, sterując osobistym wyświetlaczem. Po chwili znikły z niego tabele i wykresy dotyczące kolonii a pojawił się nieregularny kształt transportowca i zgłoszona orbita hiperboliczna, mająca zaprowadzić gwiazdolot w pobliże Rigil Prime. Oczy dyrektora przebiegły po wyświetlonych danych i przez chwilę w ciszy je analizował, nie zwracając uwagi na dziewczynę zajmującą inny fotel, również unoszący się na poduszce magnetycznej. W miarę czytania na jego twarzy pojawiał się coraz szerszy uśmiech. „Autumn” przebył cztery lata świetlne bez uszczerbku, a czas, w jakim to zrobił, niespełna dwa lata, budził podziw. Emmerich w zamyśleniu spoglądał na trójwymiarowy obraz transportowca i zadumał się nad postępem technicznym, jaki dokonał się w czasie, gdy tworzyli tu przyczółek ludzkości. Pierwsza załoga Federacji Amerykańskiej leciała do układu Alfa Centauri niemal dziesięć lat popychana silnikami termojądrowymi. Zresztą wystarczyło spojrzeć w niebo, gdzie po wydłużonej orbicie krążył „Zeus-2”, który przywiózł ich tu sześć lat temu, a zgodnie z

## Incydent...

---

nowymi rozkazami miał stać się orbitalną bazą kosmiczną. „Pozazdrościli chińczykom rządowi złodzieje...” pomyślał o politykach federacji i spojrzął na główny ekran gdzie obok planety Tolimana pojawił się rozbłysk światła. Odruchowo uniósł głowę w górę i dostrzegł przy słabo błyszczącym Alfa Centauri A nowe źródło światła, które momentalnie zgasło.

- Co ci Chińczycy tam wyprawiają? - mruknął Emmerich i podjechał swoim fotelem bliżej do środka pomieszczenia.

- Zarejestrowany rozbłysk ma charakter termojądrowy - dziewczyna powiększyła zdarzenie na głównym ekranie holograficznym i zapytała, nie odwracając wzroku od powtarzanego na ekranie rozbłysku.

- Jak to wygląda w innych pasmach widma George? - Krótko ostrzyżony murzyn z ledwie widniejącymi przy szyi interfejsami sieci, siedzący do tej pory w milczeniu w ostatnim fotelu uruchomił potężną aparaturę badawczą umieszczoną na zewnątrz budynku. Niczym rośliny do światła, trzy potężne anteny, stojące niemal pośrodku osady obróciły się w stronę odległej Alfa Centauri A, rejestrując nowe zjawisko. Przez chwilę jedynym odgłosem w obszernym pomieszczeniu był cichy szum wentylacji, stabilizującej temperaturę. Później ciszę zakłócił niski, zmęczony głos czarnoskórego operatora mówiącego bez cienia entuzjazmu.

- To będzie jakieś dwadzieścia megaton. Na pewno reakcja sztuczna, wykryte pasma widma trytu i deuteru... - słuchając monotonnych wyliczeń Emmerich przełączył swój ekran na wyniki badań podawanych w czasie rzeczywistym przez główny mainframe kolonii. Zdecydowanie wyglądało na to, że egzotyczni sąsiedzi, jedyni w promieniu czterech lat świetlnych, bawią się atomem i jego syntezą. W widmie pojawiły się również pasma plutonu i

## Incydent...

---

uranu. Dyrektor wzruszył ramionami wracając do wskaźników odczytów dotyczących kolonii.

- A nam zostało osiem ładunków trytowych w magazynie - zauważył w zamyśleniu. Temat podjęła dziewczyna, odsuwając ekran holograficzny od siebie i ustawiając fotel przodem do swego przełożonego.

- Chciałam właśnie z panem o tym porozmawiać - jej spokojny, miękki głos działał kojąco na czterdziestopięcioletką. Przymknęła oczy słuchając dalszej części wypowiedzi.

- Nic z tym trytem nie możemy zrobić a zużywamy zasoby energetyczne na magazynowanie. Nasze tokamaki2 pracują na helu3 - wiedział o tym wszystkim, ale nie zamierzał jej przerywać.

- Rekomendowałabym przetransportować je na „Zeusa-2”. Ich reaktor jest starszej generacji. Mogą używać mieszanki deuterowo-trytowej, chociaż posiadają jej znaczny zapas, odkąd przestaliśmy uzupełniać tryt na powrót. - Dyrektor kiwał głową potakująco ustawiając ekran holograficzny na obraz „Zeusa-2” docierającego właśnie do najdalszego punktu swej orbity. Na wskaźnikach widział stan magnetycznych magazynów paliwa. Emmerich szybko przeliczył w myślach i powiedział głośno.

- Po ostatnim tankowaniu moglibyśmy ruszyć nawet na Ziemię Andrea. - Operator i dziewczyna spojrzeli nań zdumieni.

- Oczywiście, żadne z nas nie ma chęci na trzydzieści lat w przestrzeni - dodał z ironią i roześmieli się w trójkę, po czym przystąpili do szybkiego przeglądu aktualnego stanu kolonii. Dyrektor nie tracił czasu, łącząc się poprzez holografię z kierownikami poszczególnych działów. Od czasu do czasu zerkał jednak na główny ekran, gdzie Andrea wyświetlała kolejne skany drugiej strony planety,



## Incydent...

---

tworząc z nich nowy raport. Tym razem, zamiast z prędkością światła pomknąć na Ziemię w impulsie laserowym, miał go zabrać „Autumn” wraz z częścią załogi, która zdecydowała się na powrót. Nie rozumiał swoich podwładnych. Po dwudziestu latach pobytu na Rigil Prime wracać na ojczystą planetę? Po co? Oczywiście za czas spędzony poza Układem Słonecznym każde z nich otrzymać miało sową emeryturę. Tylko co przyjdzie im z pieniędzy w szybkim świecie, pełnym zgiełku i bardziej chyba niebezpiecznym niż ta planeta?. Wrócił do rzeczywistości i skupił się na raporcie szczupłej, niskiej Ann Johnson z działu hydroponiki. Produkcja żywności rosła przez ostatnie dwa lata, odkąd otrzymali informację o przylocie kolonistów, cztery lata przed ustalonym harmonogramem. Aktualnie mogli wyżywić ponad cztery tysiące osób. Dodatkowym urozmaiceniem diety mogło być kilka ziemskich roślin, które przyjęły się w nowym środowisku, rozsiewając się samorzutnie i stanowiąc urozmaicenie jednostajnej i dość monotonnej diety. Wyglądało na to, że wszystko zapięte jest na ostatni guzik. Brakowało tylko transparentu z napisem „Witamy”, chociaż Emmerich był święcie przekonany, że zespół mechaników stać i na takie zagrania. Przez cztery lata stacja doświadczalna umieszczona niemal dokładnie po drugiej stronie globu rozrosła się do rozmiarów zakładu przemysłowego. Johnson wraz z trójką swych współpracowników w pocie czoła rozbudowywała instalacje, które miały stać się przyczółkiem kolonistów „Autumn” na Rigil Prime.

Dyrektor westchnął oglądając przekaz z kamer zamontowanych w tunelach hydroponicznych. Pomiedzy obłokami pary widniały dziesiątki i setki kratownic w formie sześciątów, na których swobodnie wisiały zmodyfikowane genetycznie rośliny. Całość była zautomatyzowana i funkcjonowała zazwyczaj bezproblemowo. Jed-

## Incydent...

---

nakże dwa dni temu trzy stumetrowe tunele straciły zasilanie, przez co część zbiorów obumarła, gdy spadła temperatura i zgasły światła. Teraz pracownicy stacji walczyli o utrzymanie roślinności w pozostałej części sektora. Emmerich po krótkiej, ale bardzo konkretnej rozmowie z Johnson wyznaczył dziesięcioosobowy zespół mający wesprzeć ją, by jak najbardziej ograniczyć straty. Twarz kierowniczkii stacji rozjaśnił uśmiech, gdy żegnali się ze sobą. Czternaście osób mogło się uporać z kryzysem w dwa dni, a nowe twarze, po niemal półrocznym odosobnieniu zapowiadały choć minimalną rozrywkę. Emmerich wyłączył ekran i zamyślił się. Pokochał tę planetę, ale musiał przyznać, że życie tu nie jest łatwe. Nie chodziło tu nawet o drobne zwierzęta czy niejadalne rośliny ani nawet o burze lodowe, które potrafiły szaleć pod każdą szerokością geograficzną. Każdy fragment swej powierzchni Rigil Prime oddawał po walce, z żadnego nie rezygnował. Gdyby nie politycy Federacji Amerykańskiej, siedzieliby teraz w świetle pierwszej Alfa Centauri, gwiazdy klasy G5V, niemal identycznej jak Słońce. Tylko krótkowzroczności Kontynentalnego Kongresu zawdzięczali kolonię Chińskiej Republiki Ludowej na Toliman Prime, gdzie panowały warunki niemal cieplarniane. Dyrektor powtórzył sobie w myślach tą garść danych, które zdołali uzyskać za pośrednictwem bezzałogowej sondy, zanim nie zamilkła, najpewniej zestrzelona przez gospodarzy, nietolerancyjnych dla gości, nawet automatycznych. Średnia temperatura dwadzieścia pięć stopni, jeden i dwie dziesiąte atmosfery azotowo-tlenowej, z zawartością tlenu na poziomie osiemnastu procent, bogata fauna i flora, rozległe ciepłe oceany. I ogrom przestrzeni, bowiem Toliman Prime miał średnicę ponad trzynastu tysięcy kilometrów. Dyrektor zacisnął zęby w niemym geście złości nad bezmyślnością polityków. Zamiast drugiej Ziemi, mieli dru-

## Incydent...

---

giego Marsa, na całe szczęście z rzadką, tlenową atmosferą i ogromne pola wiecznego lodu rozciągające się po obu stronach równika. Za namiastkę Słońca musiała wystarczyć Alfa Centauri B, klasy K6. Pomarańczowe światło gwiazdy dawało oszałamiające widoki, niepowtarzalne wschody i zachody. Ale... Emmerich zdecydowanie wolałby mieć wysoką temperaturę i normalne ciśnienie atmosfery a widoki na holografii. Gdyby nie tokamaki byłoby tu naprawdę paskudnie. Myśląc o reaktorze, przypomniał sobie rozmowę o ładunkach trytu i wywołał kierownika lotów. Na pustym ekranie holograficznym nikt się nie pojawił, chociaż w tle dało się słyszeć regularny syk spawarek. Dopiero przy kolejnym wywołaniu z ekranu dobiegł głos niewidocznego mężczyzny.

- Czy wy na swoich ciepłych pierdzistołkach nie macie nic ważniejszego do roboty, niż przeszkadzać w pracy - gderanie szefa lotów było równie legendarne jak jego umiejętności, toteż Emmerich w milczeniu cierpliwie czekał aż na ekranie pojawi się płaska, okrągła twarz Armstronga Lewisa, który imię otrzymał po pierwszym człowieku, który wylądował na Księżycu. Jakoż pojawiło się jego zacięte, złe oblicze znaczone plamami ciemnego smaru.

- Zatem zaszczycił nas wielebny dyrektor John Emmerich, brawo - rzucił cierpko patrząc na coś w oddali. Zwrócił z powrotem wzrok na dyrektora, gdy ten zaczął mówić.

- Wiem, że przeszkadzam w niezwykle pilnych zajęciach chiefa, ale mam pilne zlecenie - Armstrong przesunął szeroką jak łopata dłoń po twarzy, rozmazując smarem kamufaż. Palce miał zgrubiałe a skórę stwardniałą od ciężkiej pracy przy maszynach w niesprzyjających warunkach.

## Incydent...

---

- Zatem słucham dyrektorze - głos był pełen ukrytej ironii - jak brzmi to ważne zlecenie... - pomachał dłonią do kogoś poza ekranem i wrzasnął, aż odbiło się echem w pomieszczeniu.

- Francis na Boga, chcesz mieć całe ręce? Zostaw to... - spojrzął ponownie na Emmericha i dodał wyczekująco.

- Więc? - Dyrektor puścił impertynencje mechanika mimo uszu.

- Przygotujesz do lotu Waspa, przetrzuci pozostałe ładunki trytowe na „Zeusa”. Uwińcie się z tym szybko, będę potrzebował tej maszyny, jak „Autumn” wejdzie na orbitę. Kontrola lotów za godzinę poda wam parametry orbity podróźnej. - Chief westchnął głęboko i nic nie odpowiadając, zniknął z ekranu. Emmerich pomyślał, że wraz z częścią załogi, na Ziemię wracał właśnie Lewis. Ile krwi mu napsuł, to wiedział tylko on sam i mimo umiejętności, jakie posiadał główny mechanik kolonii, nie żałował, że już wkrótce przyjdzie mu się z nim pożegnać.

\* \* \*

- Cholerny, zasrany świat - darł się na cały hangar Lewis. Jego potężna sylwetka rzucała cień na niczym nieosłonięte żebra konstrukcyjne.

- Jakbyśmy nie mieli co robić - zły humor chiefa natychmiast odbijał się na reszcie załogi. Mechanicy zwijali się jak w ukropie, starając się bezskutecznie przyspieszyć realizację swoich zadań by nie dać pretekstu złemu jak osa przełożonemu do okazji wyładowania nagromadzonej złości. Przez otwarte wrota, którymi wdzierało się zimne powietrze, widać było obracające się rotory maszyny transportowej startującej na drugą stronę planety.

- Co się stało panie chieffie? - Zapytał jeden z najmłodszych, mający mniej niż osiemnaście lat, Allan Izaro.

## Incydent...

---

Szef lotów miał słabość do tego wysokiego bruneta. Podświadomie współczując sympatycznemu młodzieńcowi, który nie pamiętał Ziemi ani Układu Słonecznego a ojczyzną musiał się dla niego stać właśnie Rigil Prime.

- Zamiast robić drugiego „Rhino” - wskazał dłonią na rozbebeszony rotor potężnej maszyny transportowej i rozrzucone wokół blachy poszycia - nasz łaskawca z góry nakazał przygotowanie do lotu orbitalnego Waspa.

- Znaczy się dyrektor - upewnił się nieśmiałym głosem Izaro i usiadł w drzwiach wejściowych maszyny

- A jakże mój mały, a jakże - Lewis ze złości szarpał suwak przy twardym kołnierzu skafandra - nic mnie tak nie cieszy jak przegląd silników przelotowych, tankowanie kriogenicznego paliwa i rozruch baterii termojądrowych, gdy mamy plan napięty jak księżowa przed wypłatą - podniósł głos w górę, tak by usłyszała go pozostała dziesiątka pracowników. Spojrzeli nań, ulegli, podporządkowani, ale kilku buntowniczo spoglądało w jego stronę. Lewis zawsze trzymał swój zespół krótko a pewny swej pozycji nie omieszkiał zawsze przypomnieć każdemu, kto jest tutaj naprawdę niezastąpiony. Jeszcze pół roku temu, żaden nie spojrzałby na chiefa w ten sposób. „Czują, że kaganiec niedługo spadnie” pomyślał złośliwie i zaczął zimnym głosem wydawać polecenia.

- Farrow i Gent, przestańcie babrać się w łożysku. Zrobicie diagnostykę systemu w „4”, ma najmniejszy re-surs. Okiama, Garret i Poitu zajmiecie się zasobnikami magnetycznymi. Pozostali przygotowują zestaw do tankowania - uniósł dłonie w geście udawanej rozpaczyny i dodał.

- Pamiętajcie barany, że ma być dwadzieścia procent jednoatomowego wodoru - mechanicy krótkimi mruknięciami potwierdzili przyjęcie wiadomości i chwilę później Lewis pozostał w hangarze sam na sam z Allanem.



## Incydent...

---

- Młody, jeszcze tylko pięć miesięcy i dwa lata podróży w kosmosie. Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli nie pokażę ci najlepszych lokali na Ziemi. - Armstrong przyjaciel był bardziej strawny niż Armstrong chief despota. Jego twarz rozmarzyła się, gdy w myślach spacerował już zatłoczonymi ulicami Londynu.

- Starczy już wąsatych naukowych bab pochłoniętych misją zbawiania wszechświata - siedemnastolatek pokiwał głową chłonąc jak zawsze każde słowo swego idola niczym gąbka. Podciągnął się wyżej, siadając na miękkiej podłodze w otwartych drzwiach transportowca. Lewis wciągnął powietrze nosem, naśladowując węszenie.

- Ja już czuje je, wszystkie chętne, wszystkie młode, nadlatują specjalnie dla nas mały - chief chwycił skrzynkę kluczy i ruszył w stronę wyjścia a Izaro niczym wierny pies podążył tuż obok niego. Armstrong poklepał go po plecach, gdy opuszczali hangar.

- Idźmy, zanim ci partacze narobią jakiegoś bajzlu, w końcu tylko chief i jego prawa ręka są niezastąpieni w Price Town - Allan pokiwał głową i razem weszli do białego, tytanowego kontenera kontroli lotów.

\* \* \*

Nad niskim ogrodzeniem widniał napis „Kosmodrom Price Town” wytrawiony w grubej stalowej płycie, którą pracowicie konsumowała rdza. Nazwa brzmiała dumnie a określała pojedynczą betonową płytę w formie kwadratu o boku niespełna pięćdziesięciu metrów oraz nieużywany już kontener przerobiony na pomieszczenie kontroli startowej. Ostatni raz wahadłowiec transportowy z „Zeusa” startował stąd ponad pół roku temu toteż wokół lądowiska w strefie startu zdążyły się zadomowić niskie krzewy i odpowiednik ziemskiej, stepowej trawy. Na pły-

## Incydent...

---

cie stał wąski pojazd o krótkich skrzydłach w układzie odwróconej delty i potężnych silnikach termojądrowych a ich otwarte wloty atmosferyczne groźnie spoglądały w niebo. W chwili, gdy opuszczali Ziemię, był jednym z najnowocześniejszych przestrzennych myśliwców na Ziemi, a tutaj jedynym pojazdem o takiej prędkości i zasięgu, umożliwiającym dotarcie do gwiazdolotu. Obok, bez pośpiechu, metodycznie ubierała się w bojowy skafander Eileen Rozmowsky, jedyna kobieta w zespole pilotów na Rigil Prime. Krótko ścięte blond włosy, smukła kibić i błękitne oczy uwiodły niemal wszystkich mężczyzn w kolonii. Namęczyła się wiele, by uporać się z opinią najładniejszej dziewczyny w układzie Alfa Centauri i uwolnić się od natrętnych wielbicieli. Miano „wrednej suki” chroniło ją przynajmniej przed mniej i bardziej nachalnymi adoratorami. Może ujawniła się jej wewnętrzna natura? Wzruszyła ramionami i zasunęła blokady nanożelowe skafandra pilota. Na wskazaniach soczewki kompaktowej prawego oka natychmiast pojawiły się odczyty skafandrowego systemu podtrzymywania życia. Poprzez odczyty zobaczyła nadchodzącą wysoką postać dyrektora Emmericha. Skinęła głową w jego stronę i rozchyliła kształtne usta w uśmiechu, podnosząc jednocześnie hełm z betonowej podstawy.

- Czołem pani porucznik - dźwięczny głos dyrektora napawał optymizmem

- Witam panie dyrektorze - uścisnęła podaną w powitaniu dłoń, starając się nie zranić przełożonego ostrymi zakończeniami interfejsów komputerowych wystających z rękawic.

- Wszystko bez zmian, zadanie polega na dostarczeniu ładunków trytu. Niech pani przekaże komandorowi Werdeckiemu, aby przyjrzał się okolicom Toliman Prime i przejrzał zapisy z obserwacji optycznych i radiowych.

## Incydent...

---

Byli bliżej o trzy jednostki astronomiczne, może zobaczyli coś więcej. – Kiwnęła głową, założyła hełm i odwróciła się do niewielkiej platformy stojącej przy pojeździe gdy Emmerich tknięty nagłym impulsem dotknął ramienia dziewczyny a gdy ta odwróciła się zdziwiona powiedział.

– Niech pani uważa na siebie i powodzenia – obdarzyła go najpiękniejszym ze swych uśmiechów i weszła po platformie kołysząc szatańsko biodrami. Dyrektor przez krótką chwilę zastanawiał się, czy dwójka kontrolerów siedzących w kontenerze kontroli startowej nie dostanie zawału serca, sam dzielnie patrząc na ledwie widoczny napis na osłonie silnika pojazdu „Lockheed SF-8 Wasp”. Wytrzymał do chwili gdy Eileen usadowiła się w obszernym kokpicie. Teraz mógł spojrzeć na panią komandor bez ryzyka oskarżeń o molestowanie seksualne. Przezroczysta osłona kabiny wykonana ze spiekanych węglików i tytanowego szkła zamknęła się automatycznie a za nią szczupła twarz kobiety, ledwie widoczna w głębokim hełmie.

– Panie dyrektorze, proszę zejść z płyty, rozpoczynamy odliczanie – z głośnika umieszczonego nad kontenerem rozbrzmiał zachrypnięty głos kontrolera. Emmerich odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem odszedł w stronę pomieszczenia kontroli lotów. Wszedł do kontenera w chwili, gdy jeden z mężczyzn, siedzący przy konsoli zwrócił się do wizerunku Eileen widocznej na holograficznym wyświetlaczu. Dyrektor w myślach stwierdził, że nawet masywny hełm bojowy pilota myśliwskiego nie zdołał ukryć wrodzonego wdzięku kobiety.

– Wasp-4, kontrola przedstartowa zakończona, jesteśmy gotowi do startu – odruchowo skinęła głową potwierdzając słowa operatora. Przez moment panowała cisza, po czym w głośniku stojącym pomiędzy stanowiska-

## Incydent...

---

mi i słuchawkach kontrolerów rozległ się głos Andrei pełniącej dziś rolę oficera dyżurnego kontroli lotów.

- Trajektoria zatwierdzona, macie zgodę na start. -  
Drugi z kontrolerów natychmiast powtórzył niczym echo, efekt długich miesięcy rutyny nabytej podczas ćwiczeń.

- Wasp-4 mamy zgodę na start, pozwolenie na uruchomienie napędu przez następne dwadzieścia minut. -  
W odpowiedzi Eileen uruchomiła rozruch głównych turbin, zasilanych przez dwie baterie termojądrowe. W powietrzu rozległ się niski dźwięk nabierający powoli siły, w miarę jak ceramiczne skrzydła turbiny wirowały coraz szybciej. Kontener zaczął lekko wibrować, gdy pilot otworzyła przepustnicę i rozgrzane strumienie ognia uderzyły w betonową płytę stanowiska startowego. Wzniesiona nim fala kurzu i pyłu uderzyła w okna pomieszczenia, zasłaniając na chwilę widok. Tylko dyrektor dostrzegł przez moment smukły kształt kadłuba myśliwca mknący w górę poprzez chmury dymu i ognia. Na bocznym, płaskim, pustym dotąd ekranie zajmującym niemal całą szczytową ścianę kontenera pojawił się pojedynczy wpis „E.Rozmowsky, start 4: 52, rendez vous ZEUS, ETA 128h 43min 18sec.

- Kontrola lotów, zeszliśmy z wyrzutni, przejmujecie prowadzenie - zameldował jeden z kontrolerów. Drugi spojrział z lekkim uśmiechem na Emmericha, słuchając potwierdzenia Andrei i odłączył antenę łączności bezprzewodowej od ledwie widocznego wszczepu za uchem. Niemal jednocześnie widniejący przed nim holograficzny ekran zgasł. Pojazd znikł pomiędzy rzadkimi chmurami przemykającymi na ciemnoniebieskim niebie, ciągnąc za sobą niewielki warkocz ognia.

- Urozmaicone przedpołudnie chłopcy? - Dyrektor stanął w drzwiach patrząc jak kontrolerzy wyłączają apa-

## Incydent...

---

raturę sterującą. Jak na komendę spojrzeli w stronę mówiącego i jednocześnie kiwnęli głowami.

- Dziękujemy, że pan nas wybrał - bąknął młodszy z nich, mający najwyżej dwadzieścia lat wysoki, chudy jak szczapa brunet. Podobnie jak pozostała piętnastka w tym wieku, nie pamiętał Ziemi, a jego świat ograniczał się do niespełna trzystu twarzy z Price Town. To był jego pierwszy start pojazdu kosmicznego, który przeżył w charakterze kontrolera i mimo marginalnej roli jaką odegrał w starcie, oczy błyszczały mu jeszcze z podniecenia. Emmerich ukłonił się, dziękując za szczerą wdzięczność po czym opuścił kontener. Milsza część dnia była za nim, teraz czekała go ciężka praca.... Życie dyrektora na Rigil Prime zdecydowanie nie było usłane różami.

## HIOBOWA WIEŚĆ

4 września 2111 roku

*godz. 26.44 czasu miejscowego*

Centrum operacyjne spowijał półmrok, rozjaśniany jedynie przez główny ekran holograficzny obrazujący cały układ Alfa Centauri. Siedzący na jednym z lewitujących foteli operatorskich ciemnoskóry mężczyzna drzemał a spokoju nie zakłócał nawet najmniejszy dźwięk. Przez półprzezroczystą kopułę przesunęło się rozgwieżdżone niebo, znacznie lepiej widoczne niż na ziemskich górskich szczytach. Warstwa lodu, która pojawiła się wraz ze spadkiem temperatury na przezroczystej części kopuły zniekształcał obraz nieba, tworząc fantastyczne efekty świetlne, pojawiające się na ścianach pomieszczenia. Na obracającym się widoku układu planetarnego na głów-



## Incydent...

---

nym ekranie, pojawił się w całkowitej ciszy czerwony, trójwymiarowy, pulsujący napis „Incoming emergency message”, a po chwili w całym pomieszczeniu rozbrzmiał narastający, wibrujący dźwięk. Zaspany operator potrząsnął głową i przetarł oczy, z niedowierzaniem spoglądając na główny ekran holograficzny. Senność i ociężałość znikła w jednej chwili, gdy niewielki układ wszczepiony pod pachą z lewej strony na rozkaz umysłu wtłoczył do krwiobiegu dawkę środka pobudzającego. Odetchnął głęboko czując nagły przyływ energii i uruchomił osobisty ekran holograficzny, na którym pojawił się wizerunek staromodnej słuchawki i trójwymiarowe zdjęcie dyrektora Emmericha. Po chwili obraz się zmienił na zasnętego szefa niewielkiej kolonii siedzącego na łóżku. Ktoś leżał obok, ale poza falą czarnych włosów nie było widać nic więcej. Operator nie zwrócił na to w ogóle uwagi.

- Co tam się stało Scott? - Dyrektor nie był z gatunku tych przełożonych, którzy najpierw się unoszą, sprawdzając swą siłę głosu na uszach podwładnego a dopiero potem zgłębiają problem. Skoro ktoś dzwonił piętnaście minut przed północą, miał ku temu jakiś powód.

- Mamy alarmową wiadomość z „Autumn” - głos operatora drżał, gdy zerkał na główny ekran holograficzny z niedowierzaniem odczytując pojawiające się na nim wpisy.

- Meldunek został nadany za pośrednictwem radiowej boi alarmowej - Emmerich natychmiast otworzył szeroko oczy, ERB używano tylko w sytuacji krytycznej, gdy uległa zniszczeniu cała aparatura pokładowa. Natychmiast zsunął nogi w dół z miękkiego łóżka i zaczął się ubierać, słuchając raportu podawanego przez Scotta.

- W pobliżu pojawiły się chińskie pojazdy - dyrektor wstał zapinając bluzę - nastąpiła wymiana komunikatów, zarejestrowano start czterech pojazdów typu „Raven”,

## Incydent...

---

Emmerich zmełł w ustach przekleństwo. Raveny były używane przez flotę Federacji Północnej Ameryki jako maszyny myśliwskie średniego zasięgu. Skoro zdecydowano się na start, to nie było wesoło. Nagle Scott przerwał i zapadła dramatyczna cisza. Dyrektor spojrzął na ekran holograficzny, widniejąca tam poszarzała twarz operatora podniosła wzrok znad głównego ekranu.

- Zabili ich... - to że dyrektor usłyszał dramatyczny szept, zawdzięczał tylko dobrej czułości mikrofonów w centrum operacyjnym i znakomitemu słuchowi w jaki wyposażyla go natura.

- Kogo? - Dyrektor widział nieprzytomny wzrok Scotta, gdy ten odpowiedział tonem, jak gdyby sam nie wierzył we własne słowa.

- Wszystkich dyrektorze, Chińczycy zabili wszystkich, zniszczyli „Autumn”... - Emmerich wybiegł na wąski korytarz nieomal wrywając lekkie drzwi pokoju i pięć minut później jak bomba wpadł do pomieszczenia kontroli lotów, akurat w chwili by dostrzec zarejestrowany przez kamery sondy moment eksplozji rozrywającej potężny transportowiec. Gwałtowny błysk wybuchu musiał uszkodzić kamery sondy gdyż później nadawała już tylko dane telemetryczne.

- Cofnij to do momentu nawiązania kontaktu - to był pierwszy raz, gdy głos dyrektora zabrzmiał stałą, brzmiąc jak prawdziwy rozkaz, a nie jak sugestia, którymi do tej pory raczył swych podwładnych. Błyskawicznie dotarł do fotela i usiadł uruchamiając oprzyrządowanie. Jeszcze raz, krok po kroku obejrzał zajście i zamyślił się nie zwracając uwagi na rozgorączkowanego dyżurnego operatora. W pomieszczeniu słyhać było tylko cichy szum powietrza, odnawianego nieustannie przez system klimatyzacyjny budynku. Dyrektor jeszcze raz przejrzał logi

## Incydent...

---

sondy i natknął się na wpis, który wyświetlił na głównym ekranie.

- Spójrz Scott - obaj czytali kolejne linie rejestru. - Zwolnili dwa lądowniki. A więc ci idioci w Kongresie postanowili jednak spróbować - ekran zgasł a Emmerich ukrył twarz w dłoniach mówiąc zduszonym głosem.

- Cholerny świat polityki. Zaryzykowali trzy tysiące istnień dla udowodnienia... - podniósł głowę i spojrzał na operatora, jak gdyby spodziewał się od niego odpowiedzi i powtórzył - ... dla udowodnienia czego? Swojej głupoty? Chciwości? Czy bezgranicznej naiwności graniczącej z szaleństwem?. - Słyszac te oskarżenia Scott wzruszył ramionami robiąc niewyraźną minę. Dopiero po dłuższej chwili mruknął cicho chrapliwym głosem.

- Nie wiem dlaczego szefie, może po prostu mieli awarię...

- Jaką awarię - brutalnie przerwał mu w pół słowa Emmerich, podjeżdżając fotelem bliżej do głównego ekranu, obserwowany z niepokojem przez Scotta. Nigdy nie widział dyrektora w takim nastroju, wydawał się niczym burza gradowa. Holograficzny obraz dwóch odrywających się od potężnego kadłuba „Autumn” lądowników wypełnił całą środkową część pomieszczenia.

- To planowa operacja, lądowniki odlatują w szyku, bez pośpiechu - spokojniejszym tonem stwierdził dyrektor i cofnął się wyżej, spoglądając na swego towarzysza.

- Teraz martwi mnie co innego - widząc pytający wzrok Scotta, ciągnął dalej.

- Jak zamierzają rozwiązać problem z nami? Wiedzą, że sygnał z sondy dotarł do nas, wiedzą ile nas jest. - Oczy Emmericha pociemniały gdy warknął.

- Do diaska, przecież te bydlaki wypowiedziały nam wojnę....

## Incydent...

---

\* \* \*

Stołówkę budynku kontroli lotów Price Town wypełniał tłum kobiet i mężczyzn wszystkich możliwych odcieni skóry. Od rana osada huczała plotkami, chociaż zgodnie z rozkazem kontroler nocnej zmiany nie zdradził treści wiadomości przesłanej przez Emergency Radio Buoy. Największe pomieszczenie kolonii, jeśli nie liczyć nieogrzewanych hangarów wypełniał szum rozmów. Jakiś śniady mężczyzna perorował głośno wysokim głosem, starając się przekonać grupkę słuchaczy, że nie chodzi wcale o jakieś zdarzenia w przestrzeni tylko o dodatkowe nadgodziny.

- Ale ja, wiedźcie to sobie, nie zamierzam kiwnąć palcem nic ponad normę - skrzywił się, co miało wyglądać na sarkastyczny uśmiech.

- Co zwolnią mnie? I bardzo dobrze, czas wracać na Ziemię.

- Narobią ci gnoju w papierach - zauważyła grzecznie jedna z kobiet stojąca w grupce słuchaczy, wysoka, dobrze zbudowana pięćdziesięciolatka o krótko obciętych ciemnych włosach przeplatanych siwizną i bladych, jasnozielonych oczach.

- A tam - zachnął się „buntownik” - „papiery” ... - po chwili zastanowienia się dodał - dla mnie to całą tę papierkologię... - przerwał widząc smukłą sylwetkę dyrektora i towarzyszącą mu Andreę Sullivan przepychających się pomiędzy zebranymi do centralnej części pomieszczenia. Oboje weszli na zestawione razem plastikowe stoły. Rozmowy stopniowo cichły, gdy mieszkańcy osady spoglądali na poważną twarz dyrektora i załzawione oczy Andrei. Dopiero teraz do większości docierało, że musiało się wydarzyć coś niespotykanego. Niepokój wiszący od samego rana w powietrzu, teraz opanował wszystkich ze-

## Incydent...

---

branych. Zapadła cisza, wśród której dało się słyszeć nerwowe oddechy zaniepokojonych naukowców i inżynierów.

- Szanowni Państwo - spojrzeli po sobie zaskoczeni tak oficjalną przemową dyrektora, który nigdy dotąd tak się do nich nie zwracał. Żartobliwy, uśmiechnięty Emmerich zniknął a w jego miejsce pojawił się ponury dowódca zespołu kolonistów, w którego głosie brzmiał gniew.

- Wczoraj około godziny pierwszej dwadzieścia nad ranem, wkrótce po nawiązaniu z nami radiowego kontaktu, miał miejsce atak sił Chińskiej Republiki Ludowej z Tolimana Prime na nasz transportowiec „Autumn” - część zebranych zakryła twarze w dłoniach, domyślając się dalszego ciągu, który wypowiedział dobitnie dyrektor stalowym głosem.

- Po bezskutecznej obronie, na pokładzie „Autumn” został uszkodzony napęd, w efekcie czego doszło do eksplozji termonuklearnej o mocy dwudziestu megaton, który został przez nas zaobserwowany. Zgodnie z danymi przesłanymi przez ERB nikt nie przeżył. - Dookoła panowała martwa cisza a oczy wszystkich wpatrzono w postać dyrektora podającego hiobową wieść.

- W związku z powyższym, jako najwyższy przedstawiciel Federacji Ameryki Północnej stwierdzam, że jesteśmy w stanie wojny z Chińską Republiką Ludową. - Emmerich ogarnął wzrokiem zebranych obracając się na pięcie, wędrując oczyma po przerażonych twarzach swej załogi. Gdy wyruszali z Ziemi, nikt nie spodziewał się takiego obrotu sytuacji. Owszem, z Chińczykami rywalizowali od zawsze, tyle, że do tej pory była to rywalizacja na polu nauki i inżynierii a nie ilości odparowanych czy rozszarpanych ciał. Teraz wyglądało na to, że czas pokojowej ekspansji w kosmos zakończył się, stawiając ich od razu w przegranej sytuacji.



## Incydent...

---

- W ciągu dwudziestu minut zredagujemy wiadomość, którą wyśle na Ziemię główny zespół anten. Następnie, w centrali operacyjnej zbierze się zespół kierowniczy kolonii. Z ostatnich danych wynika, że Chińczycy mają dwudziestokrotną przewagę w ludziach, więc musimy się dobrze przygotować....

- A „Zeus”, przecież możemy nim uciec - odezwał się wysoki głos „buntownika” - mieliśmy wracać na Ziemię, a nie ginąć na tym kawałku pumeksu... - dyrektor uniósł dłoń w górę, przerywając potok wymowy spanikowanego mężczyzny.

- Kogo pan zamierza zostawić? - Rozmówca dyrektora wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Jak to?

Dyrektor wyprostował się a ton jego głosu wyostrzył się przyjmując władczą barwę. Z bezlitosną pewnością siebie wypunktował.

- Na pokładzie są niewielkie zapasy żywności, wystarczające być może na dwa, trzy lata dla całego zespołu, nie na trzydzieści, zapas paliwa jest minimalny... - odwrócił się przodem do swego adwersarza i powiedział z naciśkiem.

- Najważniejsze jest to, że w tej chwili „Zeus” jest w odległości niemal pięciu jednostek astronomicznych i wciąż się oddala. Na orbicie Rigil Prime może pojawić się najwcześniej za cztery dni i to pod warunkiem, że użyją głównego napędu. Ilu z was zgłosi się na czterdziestoletni lot na Ziemię? - Machnął dłonią i dodał zimno.

- Taka jest przewidywana długość lotu do Układu Słonecznego. - Rozejrzał się, zatrzymując się na chwilę przy każdej twarzy. Swych pracownikach, przyjaciołach w przytłaczającej większości znakomitych fachowcach. To co musiał powiedzieć Emmerich, jemu samemu podobało

## Incydent...

---

się najmniej. Zebrał się w sobie i głośnym pewny głosem zakomunikował w absolutnej ciszy.

- Od tej chwili wszyscy jesteśmy zmobilizowani do zespołu Gwardii Obywatelskiej i przechodzimy w tryb alarmu wojskowego „Żółty”. O godzinie 14.00 odbędzie się kolejne zebranie, na którym podam do wiadomości ustalenia z odprawy kadry dowódczej oraz strategię na najbliższe tygodnie....

\* \* \*

W sali centrali kontroli lotów panowała przygnębiająca cisza. Operatorskie fotele stały puste, a na obrzeżach pomieszczenia siedzieli niemal wszyscy kierownicy, poza Ann Johnson, która z oczywistych względów nie była w stanie dotrzeć na spotkanie z drugiej półkuli.

Główny ekran holograficzny pobłyskiwał światłem jak za starych, dobrych czasów, częściowo przesłonięty ciałem stojącego przed nim Emmericha. To co wyświetlał ekran nie przypominało najlepszych momentów na Rigil Prime. Dyrektor przechodził z jednego miejsca w drugie, podczas gdy zebrani kierownicy, łącznie z pyskatym Armstrongiem Lewisem w milczeniu oglądali nagranie z ERB, zbliżenie odchodzących lądowników i wreszcie błysk wybuchu termonuklearnego, który rozświetlił ekran do maksymalnych wartości. Dyrektor na ten moment zamknął oczy i powoli otworzył je przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. Nie co dzień człowiek oglądał niemal na żywo śmierć tysięcy z tak niewielkiej odległości, a w pomieszczeniu nie było ani jednego żołnierza, nikogo, kto byłby oswojony ze śmiercią. W całej dotychczasowej historii kolonizacji Rigil Prime zdarzyły się dwa przypadki zejścia, jeden z przyczyn naturalnych, drugi zaraz po wylądowaniu, gdy jeden z mechaników

## Incydent...

---

nieopatrznie wystawił się na działanie wysokiej radiacji stosu atomowego. Wypadek i natura, teraz oglądali okrutne dzieło człowieka. Emmerich zwrócił się teraz spokojnym, chłodnym głosem do bladych oblicz, wpatrujących się wciąż w jasny sześcian światła jaśniejący pośrodku sali.

- Teraz wiecie już dokładnie, jak to wygląda, Panie i Panowie.- Jak jeden mąż, wszyscy zebrani przenieśli nieprzytomne spojrzenia na dyrektora, który kontynuował powoli swą wypowiedź.

- Owszem, najprawdopodobniej próbowali lądować na Toliman Prime, ale do diabła, to nie jest tylko ich planeta. - W głosie czterdziestopięcioletniego mówcy pobrzmiwał gniew - Nawet lądowanie bez autoryzacji nie uprawniało ich do tego mordy. Teraz wiemy, że nie cofną się przed niczym.... Musimy zatem szybko rozważyć kroki, które musimy podjąć. W tej chwili dzieli nas od miejsca ataku odległość siedemdziesięciu dwóch jednostek astronomicznych. To oznacza, że jakiegokolwiek wrogie kroki odczujemy najwcześniej po około trzydziestu dniach. Mamy więc ziemski miesiąc na reakcję. - Na moment zapadła cisza, a następnie, niczym w szkole, kierownik działu medycznego uniósł dłoń na znak, że chce zabrać głos. Dyrektor zachęcająco kiwnął głową.

- Może jednak wykorzystamy „Zeusa”, to da przynajmniej części z nas szansę na ratunek - Emmerich pokręcił przecząco głową, ale ku zdumieniu wszystkich zamiast dyrektora głos zabrał szef działu mechanicznego.

- Nic z tego, w zeszłym miesiącu rutynowa kontrola głównego napędu wykazała mikropęknięcia na całej powierzchni drugiej dyszy napędowej głównego silnika. Nie wytrzyma pracy przy pełnym ciągu - Armstrong skrzywił się ironicznie mówiąc dalej - Ja w każdym razie nie chciałbym być wtedy na pokładzie. W najlepszym razie

## Incydent...

---

osiągniemy dziesięć procent prędkości światła. I pozostanie jeszcze sprawa hamowania przy dolicie do Sol - zebrani spojrzeli po sobie poruszeni. Tego się nie spodziewali, informacja o uszkodzeniu dysz, nieistotna na początku miesiąca, w obliczu zniszczenia „Autumn” nabierała fundamentalnego znaczenia.

- A więc zginiemy tu - wyjęczała przełożona działu zaopatrzenia. Oczy większości mówiły, że jej słowa głęboko zapadają w serca zebranych, przepełnione strachem. Pracują na wyobraźnię, podsuwając obrazy rodem z horroru.

- Nikt nie będzie tu ginął - przerwał kobiecie Emmerich i oparł się o podstawę głównego ekranu, zwracając się przodem do zebranych. Westchnął głęboko i poinformował słuchaczy spokojnym, chłodnym głosem.

- W związku z tym, że nasza wyprawa ruszała w obszar, na którym mogliśmy się natknąć na Chińczyków, rząd zatwierdził wyposażenie naszej wyprawy w sprzęt wojskowy - uprzedzając zdziwione spojrzenia kadry kierowniczej kolonii, ciągnął dalej.

- Skrzynie zmagazynowane w hangarze nr dwa nie zawierają zapasowego tokamaka tylko trzy myśliwce typu Wasp i trzy maszyny kroczące LW-2 Lizard, wraz z bronią ręczną i znacznym zapasem amunicji.

- Chce pan powiedzieć, że mamy tu trzy siegebooty? - Wykrztusił Armstrong, gdy już wszyscy przetrawili sensacyjną wiadomość. Dyrektor w milczeniu skinął potakująco głową w zamyśleniu, po czym dodał mimochodem.

- W zespole mamy ośmiu pilotów, stąd obecność Eileen Rozmowsky i kilku innych osób, mimo stosunkowo niskich kwalifikacji naukowych....

- Wiedzą o tym sprzecznie? - Zapytała szefowa działu medycznego.

## Incydent...

---

- Nie - Emmerich pokręcił przecząco głową - ale mieli obowiązkowe szkolenia na symulatorach. Są gotowi do obsługi uzbrojenia. - Dyrektor spojrział na Lewisa, któremu całkowicie wywietrzała z głowy chęć przekomarzenia się z własnym przełożonym.

- Ile czasu zajmie wam uruchomienie całego sprzętu? - Armstrong przymknął na moment oczy, licząc szybko w pamięci.

- Co najmniej trzy dni na każdego Lizarda i co najmniej cztery na Waspa.

- Zwariowałaś Armstrong? - Wybuchł nagle kierownik działu medycznego, perorując cienkim z napięcia głosem - dwadzieścia jeden dni? A do tego czasu będziemy w nich rzucać kamieniami? - Lewis wykrzywił twarz w złośliwym grymasie.

- Hanson, to może ty mi powiesz, jak na szybko zatankować deuterem neutronowe baterie termojądrowe, jak sprawdzić elektronikę i kilometry światłowodów w ciągu jednego dnia? Z pewnością to wiesz, w końcu jesteś specjalistą.... - Zanim „Medyczny” zdołał odpowiedzieć, Emmerich zabrał głos.

- Koniec jałowych dyskusji, ludzie czekają na decyzję - pomyślał chwilę i powiedział - technicy Lewisa przygotowują cały sprzęt do dwudziestego września. Pozostali zorganizują ośmioosobowe, mieszane oddziały. W każdym musi się znaleźć medyk i mechanik. Łącznie powinno to być około trzydziestu zespołów, które wyposażymy w sprzęt umożliwiający przetrwanie. - Emmerich wskazał dłonią na swych rozmówców, by zachęcić ich do dalszej dyskusji.

- Ale jak pan to sobie wyobraża - zaczęła szefowa zaopatrzenia - Nasi ludzie w tej głuszy? Jak mają się odżywiać, jak będą funkcjonować w tym wrogim środowisku?



## Incydent...

---

- Będą musieli - warknął Armstrong, stając niespodziewanie nawet dla siebie, po stronie dyrektora. - Ja nie będę czekał, aż wycelują we mnie głowice nuklearne.

- Rigil Prime ma miliony mil powierzchni, na której dwieście sześćdziesiąt osób może się spokojnie ukryć....

Narada potoczyła się dalej a Emmerich bez wątpienia toczył najcięższą bitwę w swoim życiu. Pomysł by się rozproszyć, przyszedł mu zaraz po tym, jak zaczął rozmyślać o ataku Chińczyków. Posiadana przez nich broń, mogła wystarczyć do prewencyjnego odparcia ataku na lądzie, chociaż dyrektor szczerze wątpił, czy taki kiedykolwiek nastąpi. Sądził, podobnie jak Lewis, że sąsiedzi przyślą kilka głowic by wypalić konkurencję kilkoma eksplozjami nuklearnymi. Tylko próba kolonizacji usprawiedliwiałaby atak na powierzchni planety. Ostatnie pytanie, na które nie chciała odpowiedzieć żadna z siedzących w sali osób, dotyczyło czasu ukrywania się w tundrze, wśród wiecznych lodów. Ponad cztery lata wiadomość biegła na Ziemię, a wysłali ją pół godziny temu. Federacja potrzebowała roku a najpewniej i dwóch lat, by przygotować odsiecz a następnie dwa lata lotu. Łącznie siedem do ośmiu lat. „Będę miał wtedy pięćdziesiąt pięć” stwierdził w myślach Emmerich, gdy głosowali nad zwiększeniem liczebności zespołów do szesnastu osób właśnie ze względu na ten długi czas oczekiwania na ratunek.

\* \* \*

Okrągła, dwustumetrowa tarcza silnika pierwszego stopnia napędu statku międzygwiazdowego klasy „Zeus” wypełniała niemal całą przestrzeń przed pojazdem Eileen Rozmowsky. Szczupła dziewczyna obserwowała ogromną instalację bez cienia entuzjazmu. Po zaskakującej wiadomości o masakrze „Autumn”, rozkaz pozostania na po-

## Incydent...

---

kładzie kosmolotu do chwili, gdy ten powróci na ciasną orbitę wokół Rigil Prime, nie napawał optymizmem. Mimo gigantycznej wielkości „Zeusa”, całkowita powierzchnia mieszkalna liczyła około tysiąca metrów kwadratowych. Trzy czwarte z tego stanowił obracający się powoli moduł sztucznej grawitacji wytwarzanej siłą odśrodkową, przypominający koło rowerowe o średnicy stu pięćdziesięciu metrów ułożone prostopadle do głównej kratownicy gwiazdolotu. Dalej ciągnęły się magnetyczne magazyny przechowujące trytowo-deuterowe paliwo dla głównego napędu i dwie tarcze dysz napędowych. Eileen mijała właśnie pierwszą z nich, wypolerowaną do granic możliwości, mogącej pełnić rolę anteny dalekiego zasięgu. Głównym jej zadaniem było jednak przyjmowanie impetu eksplozji paliwa termonuklearnego detonowanego w odległości niespełna pięćset metrów od centralnego punktu tarczy przez zespół laserów rozmieszczonych na wysięgnikach poza obrębem wielkiego puklerza. Mimo, że drugi stopień był już użytkowany podczas hamowania w układzie Alfa Centauri sześć lat temu, na jego powierzchni nie było widać śladów oddziaływania gigantycznych temperatur i ogromnych ciśnień. Myśliwiec minął tarczę, potężne amortyzatory kratownicowe oddzielające zespół napędowy od reszty statku i przemknął nad niewielkim, rozpraszającym się obłoczkiem gazu wyciekającym z nieszczelnej instalacji. Precyzyjnie odpalone dysze korekcyjne ustawiły pojazd idealnie na wprost niewielkiego sześcianu pobłyskującego zdartymi ścianami pofałdowanymi w wyniku oddziaływania wewnętrznego ciśnienia, wyglądającego na prowizorycznie przytwierdzony do konstrukcji wielki, stalowy śmietnik. W istocie, był to jeden z kontenerów, pierwotnie zawierający wyposażenie części kolonii, który pozostał na pokładzie gwiazdolotu. Został przerobiony przez zespół inży-

## Incydent...

---

nierów na niewielki, ciśnieniowy hangar, znacznie wygodniejszy w użytkowaniu niż znajdujący się w dziobowej części hangar główny znacznie większy i trudniejszy w obsłudze, zdolny pomieścić ciężkie wahadłowce. Rozmowski uruchomiła połączenie równoległe z systemem orientacji przestrzennej gwiazdolotu. Ten przejął kontrolę nad myśliwcem i wprowadził go bezbłędnie do wnętrza niewielkiego kontenera, osadzając myśliwiec na kratownicy przykrywającej podłogę. Obraz gwiazd widoczny przez szeroki otwór wlotowy został zasłonięty przez drzwi poruszane widocznymi wewnątrz siłownikami, które bezgłośnie wsunęły je w zamki magnetyczne. Eileen przełączyła baterie termojądrowe w tryb pracy jałowej i wyłączyła główne systemy pojazdu, walcząc z chęcią uruchomienia zewnętrznego oświetlenia myśliwca, by usunąć klaustrofobiczną ciemność, która otoczyła jej pojazd z chwilą zamknięcia zewnętrznych drzwi hangaru. Wtedy usłyszała narastający szum powietrza, co świadczyło o rosnącym ciśnieniu w pomieszczeniu i po niespełna dwóch minutach od momentu lądowania, wewnątrz hangaru rozbrzmiała słaba błękitna poświata rozpraszająca panujące dotąd całkowite ciemności. Dopiero teraz można było dokładnie ocenić jego wewnętrzne wymiary, niewiele większe od długości samego pojazdu. Przezroczysta osłona kokpitu odsunęła się i w nozdrza dziewczyny uderzył metaliczny zapach powietrza, przesyconego smarami i chemią. Odpięła pasy i uniosła się w górę powoli docierając w stanie nieważkości do środka hangaru, ciesząc się nieskrępowaną wolnością, której tak jej brakowało na powierzchni planety. Wtedy usłyszała szcęk rygli wewnętrznych drzwi, które uchyliły się, wpuszczając do środka strumień silnego, białego światła. Widząc wchodzącą postać, dziewczyna odbiła się od sufitu przykrytego płataniną przewodów i kabli elektrycznych i poszybowa-

## Incydent...

---

ła w kierunku wyjścia. Stojący w drzwiach, przedwcześnie posiwiały mężczyzna trzymał w dłoni parę ciężkich obszernych butów magnetycznych o poszarzałej powierzchni poprzecieranej w wielu miejscach od długoletniego użytkowania. Jego twarz, pokryta siecią zmarszczek i podskórnych wykwitów pozostałych po chorobie radiacyjnej wykrzywił uśmiech, gdy dostrzegł nadlatującą postać.

- Gdy komandor mówił, że pani przylatuje, sądziłem, że chce nam podnieść morale, ale to rzeczywiście prawda - Rozmowsky uśmiechnęła się kwaśno i potakująco kiwnęła głową.

- Niestety to prawda - w jej głosie słychać było żal za pustką kosmosu, wolną od kilkudziesięciu adoratorów, bezustannie próbujących swojej szansy. Wzięła od przyszła buty i założyła je na nogi, osłonięte jednocześnie skafandrem pilota. W powietrzu rozległ się charakterystyczny trzask elektromagnesów, które natychmiast podjęły swą pracę, przytrzymując nogi dziewczyny przy podłodze. Uczucie „pływania” nie zniknęło, ale buty pozwalały normalnie użytkować tę część gwiazdolotu, gdzie nie było siły odśrodkowej.

- Szef prosił aby pani spotkała się z nim zaraz po lądowaniu, my zajmiemy się rozładunkiem - mężczyzna nie mógł się powstrzymać od bezczelnego zmierzenia figury kobiety. Ta z rezygnacją potrząsnęła głową i bez słowa minęła swego rozmówcę, wychodząc na wąski korytarz, nie zwracając uwagi na jego wzrok. Mężczyzna dopiero po dłuższej chwili odwrócił oczy od bioder Rozmowsky i wszedł do hangaru uruchamiając łączność krótkiego zasięgu w postaci grubego jak ludzki włos mikrofonu ledwie widocznego przed wyschniętymi ustami.

- Tu trzeci mechanik. Transport z Price Town na pokładzie, potrzebuję dwóch ludzi w skafandrach do prze-

## Incydent...

---

transportowania ładunku do sekcji napędowej. – Odpowiedź, która dobiegła z implantowanych wewnątrz uszu nanosłuchawek zadowolili go całkowicie. Przysunął do pojazdu lekką, ażurową drabinkę, chwiejącą się nieco na końcu, wdrapał się i wprawnie uruchomił ze środka kokpitu dźwignię zwalniającą. Zaczepy trzymające dotąd dwa ciężkie pojemniki magnetyczne odskoczyły z trzaskiem, wypuszczając z uchwytów oba kontenery, unoszące się wciąż wzdłuż kadłuba pojazdu niczym trzymane niewidzialnym uściskiem.

Eileen słyszała te odgłosy idąc wąskim korytarzem serwisowym, zawijającym się spiralą do góry i dopiero przy głównych drzwiach ciśnieniowych odgłosy z wnętrza potężnej maszyneryi gwiazdolotu zagłuszyły wszystko inne. Przekroczyła szeroki, niemal dwudziestocentymetrowy próg drzwi i znalazła się w innym świecie. Ściany szerokiego korytarza jaśniały łagodnym blaskiem, oświetlając wykładziny wytarte dziesiątkami stóp, wyslizgane poręcze i przybłakłe, ściennie ekrany, wyświetlające dziesiątki informacji związanych z funkcjonowaniem ogromnego, mechanicznego organizmu. Masywne drzwi za plecami kobiety zamknęły się z cichym szczękiem metalu, uporczywy drażniący szum maszyn z tunelu serwisowego natychmiast ucichł a jego miejsce zajęły tony cichej, kojącej muzyki. Doskonale znała te korytarze, biegając nimi jako nastolatka, zafascynowana pilotażem, gdy wydawało się, że niewielka, wypełniona ludźmi przestrzeń „Zeusa” jest całym światem. Dotarła do drzwi windy, której kanał wiódł wprost do obrotowego modułu grawitacji. Nacisnęła przycisk otwierający wąski cylinder, w którym mogły się zmieścić najwyżej cztery osoby i śmiało wkroczyła do środka. Drzwi zasunęły się a Eileen oparła się o zaokrągloną ścianę, wpatrując się w niewielki wyświetlacz wmontowany ponad drzwiami. Jego wskazania ujawniały

## Incydent...

---

położenie cylindra, mknącego jedną z okrągłych „szprych” łączący moduł centralny z obwodem „obwarzanka”, gdzie wytwarzana była siła odśrodkowa. Po dłuższej chwili poczuła rosnące ciśnienie, stopniowo przyciskające ją do podłogi windy. Mimo treningu pilota, czuła przez moment nudności, gdy wartości ciśnienia zmieniały się szybko, w miarę jak winda zbliżała się do końca trasy. Wreszcie winda zwolniła i zatrzymała się a drzwi otworzyły się, ukazując równie zużyte powierzchnie korytarza. Odpięła buty elektromagnetyczne i ruszyła korytarzem mijając kilkanaście otwartych, pustych pomieszczeń mieszkalnych, nie spotykając w czasie tej podróży ani jednego członka załogi. Wydawało się, że poza trzecim mechanikiem, nikogo tu nie ma, ale „Zeus” musiał przewieźć w czasie swej podróży ponad dwieście pięćdziesiąt osób. Teraz jego załoga składała się zaledwie z piętnastu specjalistów, którzy mieli za zadanie konserwację ogromnego pojazdu. Dlatego pierwszą osobą, na którą natknęła się Eileen była czterdziestoletnia doktor, reprezentująca dział medyczny na pokładzie, jedząca w stoickim spokoju posiłek w ogromnej stołówce, przeznaczonej dla pięćdziesięciu osób. Wyglądała komicznie, siedząc samotnie w pustej przestrzeni, którą wypełniał odgłosy holowizji, odbieranej z czteroletnim opóźnieniem przez antenę pojazdu. Dopiero po dłuższej chwili, pani doktor zorientowała się, że w stołówce pojawił się ktoś oprócz niej. Widząc Rozmowsky, jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Wreszcie jakaś nowa twarz - odstawiła miskę z nieokreśloną bliżej zawartością, na którą składały się efekty pracy modułu hydroponiki - ja osobiście sądziłam, że zapomnieliście zupełnie o małym „Zeusie”, który wisi nad waszymi głowami. - Uścisnęły się serdecznie, chociaż nigdy nie łączył ich jakiś bliższy kontakt.

- Wie pani, gdzie teraz jest komandor Werdecki?



## Incydent...

---

- Skończył przed chwilą jeść i miał iść do swojej kajuty po jakieś dokumenty - Eileen spojrzała uważnie na swoją rozmówczynię. Jej apatia znikła a radość w oczach na widok nowej twarzy wskazywała, że pani doktor nie ma pojęcia o „Autumn”.

- Idę z panią - Rozmowsky wskazała na stojący talerz, na co pani doktor potrząsnęła głową z krzywym uśmiechem.

- Jestem pewna, że nikt mi tego nie zje, chodźmy - razem opuściły stołówkę i przeszły do głównego ciągu komunikacyjnego, szerokiego na prawie cztery metry korytarza, który w porównaniu z poprzednimi, klaustrofobicznymi przejściami wydawał się prawdziwą autostradą. Nie zdążyły dotrzeć do przedziału kajut oficerskich, gdy dostrzegły na korytarzu sylwetkę komandora.

- Panie komandorze - odezwała się Eileen, jakby w obawie, że dowódca gdzieś ucieknie. Jej podniesiony głos niósł się daleko w puste przestrzenie statku a pani doktor idąca obok, aż drgnęła od nagłego wzrostu decybeli, który zaatakował jej uszy. Komandor odwrócił się i ruszył spokojnym krokiem w stronę obu kobiet. Zatrzymali się na wyciągnięcie ręki, Eileen zasalutowała i uścisnęła wyciągniętą na powitanie, chudą i żylastą dłoń komandora. Szare, wysuszone oczy aktualnego dowódcy „Zeusa” otaksowały nowo przybyłą z zawodowym zainteresowaniem.

- Zatem dołączy pani do zespołu? - Kiwnęła głową potakująco i chciała coś dodać, ale Wardecki powstrzymał ją ruchem dłoni i spojrzał na towarzyszkę Eileen.

- Pani Aleksandro, muszę porozmawiać z panią porucznik na osobności a na dziś potrzebuję raport o stanie zdrowia załogi pokładowej - pani doktor skłoniła krótko głowę i znikła w jednym z bocznych korytarzy. Widząc to lekki uśmiech znikł z twarzy wysokiego mężczyzny a jego

## Incydent...

---

poważne spojrzenie napotkało błękitny wzrok Rozmowsky.

- Załoga nie wie jeszcze o wydarzeniach na orbicie Toliman Prime - poinformował ją suchym, urzędowym głosem. - I na razie ma tak pozostać - wskazał dłonią uchylone drzwi swojej kajuty i podążyli tam razem w milczeniu. Dopiero gdy znaleźli się wewnątrz niewielkiego pomieszczenia o długości najwyższej trzech metrów, którego jedną ze ścian w całości wypełniał ciekłokrystaliczny ekran obrazujący wszystkie podstawowe wskazania dotyczące stanu gwiazdolotu, chudy jak szczapa dowódca stanął przodem do Rozmowsky i patrząc jej w oczy rzekł.

- Na polecenie dyrektora Emmericha, zostaje pani powołana do armii Federacji Ameryki Północnej. W związku ze zniszczeniem „Autumn” dowódca uznał, że jesteśmy w stanie wojny z Ludową Republiką Chin - oczy pani porucznik zrobiły się okrągłe jak spodki, nie takiej przemowy się spodziewała....

- Spędziła pani w symulatorze bojowym łącznie dwa tysiące godzin i ma pani pełne kwalifikacje do posługiwania się pojazdem myśliwskim klasy Wasp. Dziś zostanie zamontowane w nim uzbrojenie a sam pojazd zostanie przesunięty do hangaru głównego i tam będzie pani stanowisko bojowe. W razie napotkania chińskich pojazdów w przestrzeni, otwieramy ogień bez ostrzeżenia - poważny, stanowczy głos oficera nie pozostawiał złudzeń co do treści rozmowy. Luz cywilnej służby gdzieś znikł a Eileen ścierpła skóra na myśl o tym, że lot w symulatorze wypełniony wrogimi maszynami może się nagle i bez ostrzeżenia ziścić, tylko że teraz gdy popełni błąd, nie skończy się na wyłączonym, ciemnym ekranie holografii....

\* \* \*

## Incydent...

---

Osiemnastoosobowa grupa stała na rampie potężnego helikoptera transportowego „Rhino”. Stojący przed nimi Emmerich, ubrany w przepisowy strój pułkownika armii lądowej Federacji Ameryki Północnej, salutował im z poważną twarzą, kolejno spoglądając na ludzi objuczonych sprzętem, jak gdyby chciał ich zapamiętać. Dostrzegł wśród grupy młodą i przestraszoną twarz Allana Izaro, jednego z najmłodszych pracowników kolonii. Przy dyrektorze zaczęli zbierać się koloniści, chcący pożegnać towarzyszy. Silniki czterech rotorów zawyły, nabierając obrotów, a osiemnastka pionierów, machając na pożegnanie, znikła za drzwiami rampy, które uniosły się w górę i zasłoniły wnętrze transportowca. Emmerich, nie przestając salutować odprowadzał wzrokiem odlatujący pojazd, który wkrótce znikł za horyzontem. Dopiero wtedy opuścił dłoń i ruszył w stronę hangaru, gdzie kolejna szesnastoosobowa grupa metodycznie przygotowywała się do opuszczenia kolonii. Większość członków ekspedycji, pamiętająca Ziemię i jej rozległe miasta uważała Price Town za prymitywne schronienie, tymczasową osadę zapewniającą jedynie minimum wygody. W porównaniu z bezludnym pustkowiem Rigil Prime, dotychczasowe pomieszczenia mieszkalne urosły nieomal do luksusowych wieżowców. Dyrektor spoglądał z niepokojem na składane, prefabrykowane kontenery mieszkalne, mające służyć następne osiem lat. Widział, jak dwójka mechaników z wysiłkiem pcha wózek, na którym stała neutronowa bateria termojądrowa mająca zapewnić każdej grupie minimum energii elektrycznej przez następne lata. Obok dyrektora stanęła jego asystentka Andrea przez chwilę patrząc na pracujących ludzi po czym stanęła na palcach szepcząc coś do ucha przełożonemu i razem wyszli z hangaru. Szybkim krokiem udali się do głównego budynku Price Town, częściowo opróżnionego z sprzętu, który roz-

## Incydent...

---

szabrowali osadnicy z wcześniejszych grup. W centrum kontroli lotów siedziało dwóch operatorów. Nie zwrócili uwagi na wchodzących, skupiając się na głównym ekranie, ukazującym otoczenie Rigil Prime w odległości dziesięciu jednostek astronomicznych. Na granicy zasięgu ujawnił się obiekt znacznych rozmiarów i teraz, w miarę wpływających informacji, na bieżąco wyznaczali trajektorię lotu.

- Cóż takiego odkryliście panowie? - Dyrektor stanął przy samym ekranie spoglądając na kilka punktów nawigacyjnych, które ustawił komputer.

- Co najmniej trzydzieści kilometrów długości szefie - odezwał się jeden z operatorów nadal wpatrując się w osobisty ekran holograficzny. - Trajektoria wprost na Rigil, w okolicach równika. Przeliczamy...

- Znak - odezwał się drugi operator i na głównym ekranie pojawił się kolejny znacznik nawigacyjny, tym razem w kształcie rombu a obok zmierzona prędkość obiektu - dyrektorze, zmniejsza prędkość i zmienia trajektorię. - Emmerich widział to na głównym ekranie, pierwotna trajektoria zakrzywiała się nieustannie, nie celując już w powierzchnię planety. Komputer wyliczył przypuszczalną, wydłużoną orbitę nadlatującego obiektu i po raz kolejny przeliczył wielkość na podstawie najnowszych odczytów.

- Mamy radarowe echo obiektu - na ekranie przemieszczająca się litera „X” zamieniła się w wizerunek fragmentarycznego toroidu. Widząc to, Emmerich zmarszczył brwi, starając się dostrzec szczegóły w komputerowym obrazie obiektu.

- Potwierdź kształt - mruknął do operatora nie odwracając się od obiektu wyświetlanego na ekranie, gdzie pojawiały się kolejne linie uszczegóławiając obraz. Dwadzieścia pięć minut później nie mieli już żadnych wątpli-

## Incydent...

---

wości. Główny ekran, niczym sędzia ogłaszający wyrok, wyświetlał trójwymiarowy obraz toroidu, potężnej stacji kosmicznej mającej niemal trzydzieści kilometrów długości. Mainframe błyskawicznie przeszukał swe bezdenne bazy danych i wypluł odpowiedź na głównym trójwymiarowym ekranie. Emmerich czytał, a w miarę pojawiania się kolejnych linii tekstu opuszczała go nadzieja.

„Baza kosmiczna klasy „Mao”, trzydzieści tysięcy sto pięćdziesiąt metrów średnicy, możliwa załoga, do piętnastu milionów osób”, pozostali również odczytali informację i zapadła przedłużająca się cisza. Tego rozwoju wydarzeń nie przewidzieli. Na spotkaniu kadry omawiali różne metody postępowania, możliwe scenariusze, nawet zakładające lądowanie kilkuset chińskich żołnierzy, ale nie całej armii!. W tym kontekście trzy myśliwce i trzy maszyny kroczące wydawały się czymś śmiesznym, wręcz okrutną parodią. Kilka minut później w centrum pojawił się Armstrong, należący teraz do ścisłego sztabu. W milczeniu spoglądał na chiński toroid odwzorowany na głównym ekranie, po czym splunął siarczysto na jasną podłogę z tworzyw sztucznych.

- Piętnaście milionów złotych - syknął przez zęby z wściekłością i potoczył wokoło wzrokiem. Napotkał oczy Emmericha i rzekł.

- Doskonała okazja, żeby im odpłacić za „Autumn”

- Jak? - Dyrektor miękko usiadł na swym fotelu i spojrzał ponuro na główny ekran - nie mamy broni nuklearnej, nie ma czasu na przygotowanie broni masowego rażenia a całą naszą siłę stanowią trzy myśliwce i trzy Siegebooty. Lewis kiwał głową słuchając zrezygnowanego głosu Emmericha po czym rzekł zachrypniętym, dobitnym głosem.

- Nie wylądują całą tą wielką kupą kosmicznego złomu, będą musieli jakoś przerzucić ludzi na powierzchnię.

## Incydent...

---

- Wydawało się że chief myśli głośno, nie starając się nikogo przekonać, ale wszyscy w naturalny sposób patrzyli na niego, chłonąc cedzone przez niego powoli słowa.

- Na wahadłowce transportowe nic nie poradzimy - oderwał oczy od obrazu toroidu i opalizującego napisu „Mao” poniżej - ale idę o zakład, że te żółte świny opuszczą tu windę orbitalną. Tylko w ten sposób szybko, sprawnie zrzucą i ludzi i zaopatrzenie. - Pokiwał głową, jak gdyby sam siebie przekonywał do własnego rozumowania. - A jeżeli utracimy tę diabelską taśmę, pozostaną im jedynie standardowe środki transportu, to napsuje im krwi a nam da szansę przeżycia. - Dyrektor wstał jak gdyby się obudził a w jego głosie znów brzmiała pewność siebie.

- Wezwijcie wszystkich pilotów i dowódcę oddziału piechoty, muszę z nimi porozmawiać.... - Jeden z operatorów utworzył kanały komunikacyjne, jak echo powtarzając polecenie dyrektora. To o co Emmerich zamierzał prosić swoich ludzi, było niemal pewnym samobójstwem, ale dawało pozostałym szansę na ratunek. Plan ataku skryzalizował się błyskawicznie, podczas szybkiej burzy mózgów w centrum kontroli lotów. Mieli niewielką szansę pokrzyżowania planów nadlatującym Chińczykom. Jeżeli utrzymaliby Price Town wystarczająco długo, by dać namiary kluczowi myśliwskiemu, ten mógłby zniszczyć opuszczaną windę orbitalną, odcinając w ten sposób toroid od powierzchni Rigil Prime. To jednak znaczyło, że ci, którzy zabezpieczą start, nie mają najmniejszych szans, broniąc instalacji kolonii przed przeważającymi siłami przeciwnika. Mimo to, żaden z wezwanych się nie wahał. Ani piloci, ani żołnierze. Emmerich musiał wręcz namawiać część z nich, by jednak ruszyli w głąsę, nie chcąc narażać nikogo oprócz tych, którzy musieli pozostać. Ostatecznie na terenie Price Town miała pozostać dzie-



## Incydent...

---

sięcioosobowa drużyna piechoty dowodzona przez niskiego i szczupłego sierżanta Wilcoxa, będącego do niedawna jednym z biotechników, siedmiu pilotów oraz czterech operatorów, Andrea i Emmerich. Chief mechaników dopiero po piekielnej awanturze wyruszył z ostatnią grupą w dzicz, biorąc ostatni sprawny wszędolaz, zapowiadając wszystkim wokół, że powróci bo nie da się tak łatwo wykopać z ciepłego fotela w JEGO hangarze.

### **ZEUS – PAN NIEBA**

*2 października*

*godz. 14.22 ziemskiego czasu uniwersalnego*

Eileen Rozmowsky stała w skafandrze bojowym, z pobladałą twarzą słuchając dowódcy „Zeusa” i spoglądając na płaski ekran ścienny wyświetlający taktyczną sytuację w promieniu jednej jednostki astronomicznej. Na mostku kapitańskim siedziało dziesięć osób, pozostali zajęli podobne stanowiska w maszynowni. Moduł sztucznej grawitacji opustoszał.

- ...na orbitę Rigil Prime wszedł chiński toroid i podejrzewam, że nas namierzył... - Werdecki mówił to takim tonem głosu, jak gdyby mówił o kolejności wacht w mesie.

- ...zakładam, że posiadają broń jądrową, zatem istnieje ryzyko zniszczenia gwiazdolotu. W związku z tym pani porucznik będzie czekać gotowa do startu. Myśliwiec jest uzbrojony a baterie termojądrowe mają uzupełnione wkłady. Jak wiecie, obróciliśmy „Zeusa” dyszami głównego napędu przodem do kierunku lotu. Jeśli złotym przy-

## Incydent...

---

dzie do głowy odpalić jakąkolwiek broń, uzyskamy przynajmniej częściową osłonę. – Komandor odetchnął głębiej i rzekł, wpatrując się w bladą Rozmowsky.

– Nie możemy bezpiecznie wejść na orbitę Rigil. Nie mamy również wystarczającego zapasu paliwa by ruszyć na Ziemię. Pozostaje trzecia możliwość, którą przedyskutowałem z dyrektorem. – Zebrani patrzyli na dowódcę a twarze nielicznej załogi znaczył strach. Nagłe przejście z nudnej, usypiającej służby w środek pierwszej wojny w obcej przestrzeni nikomu nie wyszedł na zdrowie. Połowa była na środkach uspokajających zaaplikowanych przez doktor Aleksandrę, pozostali byli niemal nieprzytomni ze strachu. Jedynie Wardecki wydawał się monolitem bez jednej rysy. Opanowany, spokojny i zimny jak lód. Ogarnął wzrokiem niewielką grupkę ludzi, jak gdyby się zastanawiał, czy będą w stanie udźwignąć jego słowa po czym rzekł powoli.

– W ciągu czterdziestu ośmiu godzin będziemy w pozycji umożliwiającej start w stronę Proximy Centauri a ta ilość paliwa, którą mamy i uszkodzenia pierwszej tarczy pozwolą nam na dotarcie do układu w ciągu niecałych dwóch lat. Tam poczekamy na odsiecz. – W oczach wszystkich dostrzegł jeden wielki znak zapytania i niepokoju. Celem lotu był słabo poznany układ trzeciej towarzyszkii Alfa Centauri B, prawdopodobnie bez planet, ze słabą, nieprzewidywalną gwiazdą klasy M5V. W świecie mroku i zimna mieli oczekiwać na ratunek następne sześć czy osiem lat. Wardecki rozumiał znaczną część swej załogi, ale na pokładzie „Zeusa” nie było miejsca na dyskusje i podejmowanie decyzji poprzez demokratyczne głosowanie. Komandor spojrzał na Eileen Rozmowsky, silnym głosem wydając rozkaz.

– Pani porucznik, proszę do hangaru głównego i zameldować, kiedy będzie pani gotowa – skinęła głową,

## Incydent...

---

blada ale już pewna siebie, stukając magnetycznymi butami opuściła centrum operacyjne.

- Szeffie, mam na ekranie dwa obiekty, które oderwały się od toroidu. Nabierają prędkości - podniesiony głos operatora zmusił pozostałych do działania. Na głównym ekranie nawigacyjnym pojawiły się dwa punkty, które oderwały się od orbity Rigil Prime i weszły na orbitę hiperboliczną przechodzącą w pobliżu wytyczonej trasy Zeusa.

- Zatem nas zobaczyli - mruknął w zamyśleniu komandor, siadając w obszernym fotelu, solidnie przytwierdzonym do tytanowej podłogi. Przed obliczem dowódcy statku pojawił się niewielki ekran holograficzny wyświetlający dziesiątki danych opisujących lot gwiazdolu. Kilkoma ruchami palców oczyścił ekran ze zbędnych informacji, pozostawiając tylko kilka po czym wywołał kokpit myśliwca. Natychmiast ukazała się zacięta twarz Eileen. Bładość z twarzy dziewczyny znikła, zajął ją spokój i skupienie a policzki lekko się zaróżowiły.

- Komandorze - Rozmowsky założyła hełm, spoglądając na wizerunek zwierzchnika jaśniejący na holograficznym ekranie.

- Przekazujemy wskazania radarów na komputer pokładowy. Pani celem są dwa obiekty zderzające w naszym kierunku z prędkością ponad stu kilometrów na sekundę. Po ich zlikwidowaniu uzupełni pani paliwo i będzie nas eskortować do chwili minięcia Rigil Prime a następnie wyląduje i zabezpieczy myśliwiec.

- A jeśli będą nas ścigać? - Wardecki pokręcił przecząco głową i odpowiedział głośno, tak aby wszyscy wokół słyszeli jego słowa.

- Jeszcze nikomu nie udało się zaatakować gwiazdolu od strony rufy gdy ten uruchomił główny napęd. - Z całkowitą pewnością siebie stwierdził komandor i od-

## Incydent...

---

wrócił fotel, spoglądając na załogę sterowni. Wiedzieli o uszkodzeniu pierwszego stopnia, znali stawkę, ale alternatywą była próba hamowania na orbicie i wystawienie się pod morderczy ostrzał całego arsenału chińskiej stacji. Z drugiej strony lot na Ziemię skazywał ich na czterdziestoletnią wędrówkę, na dożywocie we wnętrzu „Zeusa”. Zrealizowanie planu ratującego skórę wymagało przejścia w pobliżu Rigil Prime....

\* \* \*

Z cienia rzucanego przez dyszę napędu głównego powoli wyłonił się niewielki myśliwiec, od czasu do czasu błyskając dyszami silników korekcyjnych. Osłona kokpitu powoli ściemniała, zabezpieczając pilota przed ewentualnym rozbłyskiem nuklearnym a główne dysze napędowe bluznęły strugami rozgrzanego wodoru, oddalając go nieco od potężnej konstrukcji gwiazdolotu. Rozmowsky obserwowała odczyty przekazane z głównego komputera „Zeusa” pokazujące oba obiekty, które nabierały prędkości, kierując się wprost na gwiazdolot. Eileen ruchem kciuka odbezpieczyła oba szynowe działa magnetyczne i wysunęła się ponad tarczę. Na soczewce kompaktowej natychmiast wyświetliły się namiary obu nadlatujących obiektów wraz informacją dotyczącą prędkości i kąta podchodzenia względem jej myśliwca. Obok pojawił się odczyt systemu „swój-obcy” – kod „Alamo”. Nie były to więc automatyczne pociski nuklearne jak sądził komandor a dwa myśliwce przeciwnika, szybkie i zwinne J-20. Nie manewrowały, spokojnie nabierając prędkości, nie spodziewając się oporu.

Przełknęła głośno ślinę, nigdy nie sądziła, że będzie musiała strzelać do innego człowieka, ale rozkaz komandora nie pozostawiał jej żadnych złudzeń. Włączyła chło-

## Incydent...

---

dzenie napędu i za Waspem na moment pojawiła się chmura szybko rozpraszającego się kriogenicznego wodoru, schładzającego dysze głównego silnika. W przestrzeni przed nią, na powierzchni soczewki kompaktowej wyświetlił się szary romb z każdą chwilą nabierający koloru a po chwili drugi. Pozwoliła by komputer celowniczy namierzył bliższy z pędzących pojazdów po czym lekkim muśnięciem kciuka uruchomiła mechanizm spustowy. Wyzwolony impuls świetlny pomknął światłowodem ku bębnowi amunicyjnemu a wzbudzone elektromagnesy podały do komory pojedynczy pocisk z utwardzonego wolframu, który rozpoczął swój obłądny bieg, przyspieszany przez ogromną siłę dwóch nadprzewodnikowych elektromagnesów. Pocisk opuścił wyrzutnię z prędkością dwunastu kilometrów na sekundę a potworny pęd spłaszczył prostokątny cylinder. Wewnętrzny ładunek rdzenia pocisku eksplodował, tworząc chmurę ostrych odłamków, pędzących w stronę pierwszego celu morderczą chmurą niemal niewykrywalną dla radaru. Skrupuły pani porucznik gdzieś zniknęły, gdy z mściwym wyrazem twarzy zwróciła uwagę na romb symbolizujący drugi z pojazdów, który wchodził w zasięg uzbrojenia. W tej samej chwili dostrzegła serię iskier przebiegających po poszyciu statku i dwie dziury ziejące w tylnej części kadłuba „Zeusa”. „Prawdopodobnie laser” wzruszyła ramionami i nagle poczuła żołądek podchodzący do gardła, gdy komputer pokładowy bez jej udziału włączył dolne silniki korekcyjne a tuż pod myśliwcem przemknęła celownicza smuga laserowa. Przesunęła dźwignię mocy naprzód a główne dysze rozbłysły gorącym wodorem, który przekształcał się w plazmę. Zdawała sobie sprawę, że jest teraz doskonale widoczna na ekranach skanerów przeciwnika, ale zaskoczenie było jej kluczowym atutem. Część tytanowej osłony wlotu atmosferycznego prawego silnika

## Incydent...

---

uchyliła się ukazując wirujące lufy lasera gazowego. W komorze inicjującej zapłonął swym niezwykłym zielonym płomieniem argon. Lufy zasilane rozładowującymi się kolejno obwodami nadprzewodnikowymi, poczęły rażać laserowymi strzałami zbliżający się myśliwiec przeciwnika. Dopiero w tej chwili wrogi pilot zaczął reagować, gdy zorientował się, że walczy z drugą maszyną a nie stanowiskami obronnymi „Zeusa”. Było już jednak za późno, dłoń Eileen, prowadzona przez wskazania komputera bojowego, zasypała przestrzeń przed sobą impulsami lasera. Jeden musiał trafić prosto w baterię termojądrową pojazdu przeciwnika, powodując spektakularny wybuch w przestrzeni przed Zeusem. Oświetlił tym na moment chmurę podpocisków mknącą wciąż ku pierwszemu myśliwcowi. Chiński pilot zdołał dostrzec zagrożenie i katalpował kokpit. Opuścił strefę rażenia na sekundę przed tym, jak kadłub J-20 przeszyło trzydzieści centymetrowych wolframowych drzazg, uderzających z prędkością niemal stu pięćdziesięciu kilometrów na sekundę. Odłamki trafiając w poszycie pojazdu przeciwnika zmieniły się w smugi plazmy, niszcząc całkowicie chiński myśliwiec. Rozmowsky wygasła silnik główny, sprawdzając swą pozycję w stosunku do Zeusa. Nie oddaliła się zbyt daleko, lecąc teraz niespełna sześć kilometrów na sekundę szybciej od gwiazdolotu. Połączyła się z komputerem macierzystego statku, ściągając najświeższe dane nawigacyjne. Nie dostrzegła nowego zagrożenia. Obróciła pojazd tyłem do kierunku lotu i precyzyjnie odpaliła główny napęd, pozwalając by „Zeus” swym rosnącym pędem dogonił ją w ciągu niecałych dwóch godzin. W tym czasie Wasp z wygaszonymi silnikami tkwił niczym niewidoczny strażnik, chroniąc nadlatujący gwiazdolot przed zakusami przeciwnika. W przestrzeni nie czaiło się niebezpieczeństwo a dwa myśliwce, które wysłał przeciwnik miały



## Incydent...

---

prawdopodobnie wystarczyć do tego by zniszczyć bezbronny gwiazdolot lub go przejąć. Eileen oddała kontrolę nad myśliwcem systemowi dokującemu i z niepokojem pomyślała, co by się stało, gdyby dyrektor Emmerich nie wydał rozkazu lotu na „Zeusa”. Prawdopodobnie zamiast dwóch zabitych Chińczyków, załoga gwiazdolotu przemierzałyby teraz próżnię bez skafandra...Wasp ustawił się na wprost otwartych drzwi głównego hangaru. W tym momencie po prawej burcie przemknęła niczym błysk światła cała grupa szczątków. Dziewczynie wydawało się, że przez moment widziała nieregularny kształt kokpitu i cały złom błyskawicznie został z tyłu. Dopiero teraz poczuła uderzenie adrenaliny i radość, zdając się nie dostrzegać, że zabiła jednego człowieka a drugiego skazała na męczarnie i śmierć w samotności głębokiego kosmosu. Zestrzeliła dwie maszyny przeciwnika i obroniła macierzysty okręt!. Jej niemal doskonałe rysy twarzy rozjaśnił szeroki uśmiech, gdy myśliwiec powoli wsunął się do obszernego pomieszczenia hangarowego i bezgłośnie osiadł na grubej kracie przykrywającej właściwą podłogę z litej stali. Z górnych rogów pomieszczenia chlusnęły białe strugi bogatej w tlen atmosfery, spowijając mroźną mgłą wnętrze pomieszczenia. Zza osłony kokpitu do uszu pani porucznik dobiegł szcęk wewnętrznego wjazdu i pokracznie poruszająca się postać trzeciego mechanika, odzianego w skafander ciśnieniowy, podbiegającego do stacji pomp. Widząc jak dziewczyna odpina pasy, przesunął jeden z szerokich suwaków łączności na prawym ramieniu i w kokpicie myśliwca rozległ się jego chropowaty baryton.

- Nie otwieraj, mamy tu dziesiątą część psi, tylko tankowanie i z powrotem na zewnątrz - dziwnie zaskrzeczał w głośniku jego złośliwy śmiech gdy dodał - jak pani porucznik wysiadałaby na siusiu, to musi złapać do gar-

## Incydent...

---

ści. – Opadła z powrotem na fotel, a część radości gdzieś uleciała. Zwróciła głowę w stronę niewidocznego teraz mechanika i pokazała mu język, nie przepadała za tą szowinistyczną świnią. Zamknęła na moment oczy, znów uśmiechając się do swych myśli. Dziś została asem!. Dwadzieścia metrów powyżej hangaru komandor Wardecki w skupieniu obserwował wskazania komputera. Żaden mięsień na jego twarzy nie drgnął, gdy pani porucznik szybko i skutecznie rozprawiła się z zagrożeniem, teraz równie spokojnie obserwował ekrany nawigacyjne. Rozważał właśnie uruchomienie aktywnych radarów i nedarów rozpoznania bojowego, gdy od strony pulpitu sterowniczego dobiegł go głos nawigatora.

– Mamy dane z Price Town, uzupełniam wykres – ekran zamigotał na krótką chwilę po czym obraz chińskiego toroidu na mapie nawigacyjnej przesunął się o trzysta kilometrów dalej. Dokoła pojawiło się kilka punktów, zidentyfikowanych jako transportowce orbitalne o kodzie „Decco G”. Każdy mógł przewieźć do czterdziestu żołnierzy i mógł opanować gwiazdolit, wybijając załogę w walce wręcz. Przedłużającą się ciszę w centrum operacyjnym, przerwał spokojny, cichy głos komandora, myślącego na głos.

– Szykują się na nas, czy na Price Town? – Przerzucił część danych na osobisty ekran holograficzny i powiększył obraz obserwując mrowiące się pojazdy transportowe doskonale widoczne za pośrednictwem silnych anten kolonii. Przy wahadłowcach pojawiły się mniejsze pojazdy, które komputer sklasyfikował jako „Alamo”. Ruszyły spiralnym szlakiem w górę, nabierając coraz większej prędkości. Wardecki odczekał jeszcze dziesięć minut po czym wtulił się w wygodny fotel i mruknął ni to do siebie, ni to do załogi, która obserwowała to samo na głównym ekranie.

## Incydent...

---

- Osiem maszyn, te są nasze - w milczeniu analizował szanse dalszej walki. Komputer odwzorowywał lot maszyny przeciwnika i cała obsada widziała wyraźnie, jak rozsypują się w formację chmury, ulubioną figurę przestrzenną Chińczyków. Zatem wiedzieli już co spotkało dwójkę ich kolegów, być może drugi, przed zestrzeleniem zdołał przekazać co nieco przez radio. Wardecki nigdy nie płakał nad rozlanym mlekiem, teraz też nie zastanawiał się dłużej co by było gdyby..., natychmiast podejmując decyzję.

- Uwaga załoga - silny głos komandora zaskoczył nieco wszystkich - przygotować się do uruchomienia napędu głównego.

- Komandorze, nie obliczyliśmy trajektorii, nie mamy żadnych danych... - zaczął nawigator, ale Wardecki zszedł z fotela, stanął przy głównym ekranie i spojrzał na swą załogę, widząc tylko oczy nad masywnymi konsolami sterowniczymi.

- Nie przejdziemy w pobliżu Rigil Prime i zużyjemy kilka ładunków co wydłuży naszą podróż na Proximę o dwa miesiące. Mamy najwyżej pół godziny zanim znajdziemy się w zasięgu ognia tych ośmiu myśliwców a nasza pani porucznik nie ma szans wobec ośmiokrotnej przewagi. Odpalimy trzy ładunki co wprowadzi nas na eliptyczną orbitę wokół gwiazdy centralnej. Kiedy oddalimy się od nich na bezpieczną odległość, odpalimy główny silnik jeszcze raz i zrealizujemy plan lotu na Proximę. - Zamknął na chwilę oczy i dodał agresywnie.

- Są pytania? - I zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć dodał. - Nie? To świetnie. - Usiadł z powrotem na swoim fotelu i zaczął wyrzucać z siebie polecenia.

- Podaję parametry obrotu Zeusa. - Zerknął na wskazania komputera kontynuując niezmiennym tonem głosu - oś Z sto osiemdziesiąt stopni plus, oś Y sześć

## Incydent...

---

stopni minus, oś X trzy stopnie plus. – W chwilę po tych słowach, szerokie dysze korekcyjne gwiazdolotu otworzyły się wypuszczając kilka strug gazu, powodując powolny i stabilny obrót ogromnej masy wokół wszystkich trzech osi. Nad przypominającymi dawne długie zbiorniki paliwa zespołami akumulatorów startowych pojawiła się mgiełka azotu, gdy reaktor termojądrowy zaczął wtłaczać w dziesiątki zwojów nadprzewodnika energię mającą zasilać zespoły generatorów laserowych. Na zewnętrznych krawędziach modułu sztucznej grawitacji zabłyśły niewielkie silniki raketowe, zwalniające jego obrót. Ogromne, próżniowe łożysko wypełniło powietrze, hamując jeszcze bardziej zwalniający moduł, który zatrzymał się z drzeniem całej konstrukcji i głośnym jękiem metalu słyszonym jedynie wewnątrz gwiazdolotu.

– Moduł obrotowy zabezpieczony do startu – zameldował główny mechanik.

– Medyczny przygotowany do startu – jak echo odpowiedziała mu doktor Aleksandra.

Wardecki pokiwał głową, wpatrując się w coraz bliższe myśliwce przeciwnika. Być może wystrzeliły już magnetyczne szrapnele a mordercze promienie gazowych laserów wrywały dziury w zewnętrznym poszyciu „Zeusa”, ale już wiedział, że gwiazdolot zdąży uciec. Leniwie ścisnął podwójny uchwyt dźwigni mocy uruchamiającej główny napęd pojazdu, odblokowując możliwość ruchu i powoli przesunął ją do przodu. Rozległ się głośny szcęk pasów magnetycznych automatycznie wysuwających się z oparcí foteli, które zabezpieczyły załogę przed przeciążeniem. Szary panel nad głównym ekranem nawigacyjnym zabłyśł czerwienią ostrzeżenia. Komandor przesunął dźwignię do końca i nacisnął przycisk odpalania, otwierając kriogeniczny zbiornik paliwa. Ciśnienie zgromadzonego w pierwszej sekcji wodoru wypchnęło zmrożoną ku-

## Incydent...

---

łę deuteru i trytu idealnie pośrodku szerokiej dyszy silnika głównego. Deuterowo-trytowy nabój paliwowy oddalał się z niezmienną prędkością, gdy przeszło przez nią kilka podpocisków z utwardzonej stali. Kula zaczęła gubić swą zawartość i tracić spójność, ale w tym samym momencie wieniec laserów otaczających dyszę zabłysł upiornym bladym światłem, zaledwie na ułamek sekundy. Gigantyczna moc, uzyskana dzięki gwałtownemu rozładowaniu nadprzewodnikowych akumulatorów wystarczyłaby zamienić kule o średnicy pięćdziesięciu centymetrów w miniaturowe słońce. Czerń kosmosu rozjaśniła eksplozja termonuklearna, niszcząca wystrzelone przez Chińczyków pociski i gwałtownie przyspieszając bieg „Zeusa”, pozwalając mu wyjść poza zasięg ognia przeciwnika. Gwiazdolot zadrżał poddawany ogromnym przeciążeniom, prowadzony przez główny komputer nawigacyjny. Dwa ładunki termonuklearne wystarczyły, aby w ciągu niespełna godziny prędkość Zeusa wzrosła o ponad sto kilometrów na sekundę kierując go na wydłużoną orbitę wokół Alfa Centauri B. Przeciwnik w ciągu kilku krytycznych minut pozostał daleko w tyle i chociaż żaden z chińskich myśliwców nie został uszkodzony, to fala uderzeniowa rozproszyła całą formację, rozrzucając zaskoczonych Chińczyków na dużym obszarze. Ledwie widoczny w oddali jasny punkt wskazywał na „Zeusa” i rozżarzoną do białości dyszę pierwszego stopnia napędowego. Na pokładzie gwiazdolotu po długiej chwili ciszy, trzasnęły zapiecia magnetyczne, uwalniając członków załogi z przeciwprzeciążeniowych foteli. Wardecki wciąż spoglądał na główny ekran, jak gdyby spodziewał się jeszcze jakiejś reakcji przeciwnika. Twarze członków załogi rozjaśnił nagły wybuch radości, trochę na pokaz, nieco zbyt intensywnej, jak zwykle po głęboko stresowej sytuacji. Nie zwracając zbyt wiele uwagi na zamkniętego w sobie do-

## Incydent...

---

wódce, zaczęli sobie gratulować. W atmosferę ogólnego szczęścia wkradł się głos komandora, który uruchomił wewnętrzną łączność.

- Pani porucznik, alarm odwołany, proszę panią na mostek...

### DWUDZIESTU TRZECH Z PRICE TOWN

Na ciemnoniebieskim niebie Rigil Prime termojądrowy rozbłysk, ostatni z serii, tracił na intensywności, by zniknąć kilka sekund po tym jak się pojawił. Rzadkie, pierzaste chmury zaczęły zasnuwać niebo i słabo świecąca gwiazdę centralną. Zbliżał się zmierzch, długa niemal osiemnastogodzinna noc a razem z nią mróz. Emmerich poprawił szeroki kaptur chroniący głowę przed wdzierającym się do środka chłodem i uśmiechnął się szeroko. Szesnaście osób z „Zeusa” za które był odpowiedzialny bezpiecznie zmierzało ku wolności, teraz musiał się zatroszczyć tylko o spełnienie swej powinności wobec reszty. Powolnym krokiem przeszedł opustoszały plac, minął solidne betonowe umocnienia, za którym skryło się trzech piechurów uzbrojonych w szybkostrzelną broń palną. Nieco dalej, z dawnego kontenera magazynowego wystawała krótka lufa gazowego lasera impulsowego. Reszta siegeboota, dwunożnej maszyny bojowej wysokiej na niemal cztery metry, kryła się wewnątrz skorodowanego pomieszczenia. Dzięki nim mieli cień szansy na obronę, MV-2 Lizard należał do kategorii lekkich maszyn tego typu, ale jeśli Chińczycy nie posiadali jego odpowiednika w uzbrojeniu, czekała ich prawdziwa hekatomba. Każda z trzech maszyn miała do dyspozycji moc z dwóch neutronowych baterii termojądrowych – ponad 50GW energii mogącej zamienić w perzynę pół miasta.

## Incydent...

---

Wzrok idącego coraz szybszym krokiem dyrektora prześlizgnął się po mieniącym się pancerzu, mogącym zmieniać wzór kamuflażu w zależności od otoczenia i napotkał pilota, poprawiającego coś przy siłowniku nogi pokracznej maszyny.

- Jak się czujesz Waren? - Zapytał rześkim głosem. Mężczyzna rozdziawił w uśmiechu spierzchnięte usta i odkrzyknął wesoło.

- Damy im wycisk dyrektorze, jak mi Bóg miły, tę stronę „Price Town” żółci chłoptasie zapamiętają sobie na bardzo długo....

Emmerich w odpowiedzi pokazał mu uniesiony w górę kciuk i skierował się wprost do głównego budynku. Ten obchód pozycji wynikał raczej z potrzeby serca niż z rzeczywistej konieczności. Niewielki zespół, choć sformowany przed kilkoma dniami, działał jak doskonale noliwiony mechanizm. Warto było przejść się po stanowiskach żeby poczuć tą ogromną dawkę optymizmu, zwłaszcza u pilotów myśliwskich, dowodzonych przez trzydziestoletniego kapitana Roena. W myślach kolejno przyglądał się tym twarzom i nadal miał je w pamięci wkraczając do centrum operacyjnego gdzie panowała nerwowa atmosfera. Andrea wraz z dwoma operatorami bezustannie prowadzili obserwację wrogiego toroidu za pomocą wszelkich dostępnych urządzeń. W miarę jak przestrzeń wokół „Mao” gęstniała od mniejszych pojazdów, rósł niepokój. Dyrektor na piętnaście minut opuścił budynek, gdy okazało się, że osiem pojazdów, zidentyfikowanych jako myśliwce, ruszyło w stronę odległego „Zeusa”. Andrea nalegała na start własnych myśliwców, ale dyrektor ani myślał przedwcześnie ujawniać nieliczne atuty, którymi dysponowali. Na razie chińska stacja krążyła niewiele ponad pięćset kilometrów nad powierzchnią planety. Podjęty plan zakładał zniszczenie windy or-



## Incydent...

---

bitalnej, a ta mogła być rozwinięta przez Chińczyków dopiero na orbicie geostacjonarnej, która tu znajdowała się grubo ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów wyżej. Widoczny nawet gołym okiem toroid wydawał się łakomym kąskiem, który „Wasp” na pełnej prędkości były w stanie osiągnąć w ciągu kilku minut. Nie chodziło tu jednak o zrobienie kilku dziur w masywnym poszyciu stacji. Dyrektor usiadł w swym fotelu, ściągając rękawice i rzucając je na podłogę. Przez przygnębiająco długą chwilę pomyślał, że jednak pomylili się razem z Armstrongiem. Wyglądało na to, że Chińczycy mają dość maszyn transportowych, by ich zasypać tysiącami żołnierzy bez patrzenia na koszty. Zwłaszcza, że w ich stronę leciała już formacja opancerzonych wahadłowców. I wtedy usłyszał głos jednego z kontrolerów.

- Dyrektorze, toroid zmienia orbitę - w tym samym momencie Emmerich odetchnął głośno i otarł perlisty pot, który pojawił się przez te kilka minut na czole. U uruchomił osobisty ekran holograficzny, włączając łączność dalekiego zasięgu. Po dłuższej chwili, na ekranie pojawiła się nieruchoma twarz komandora Wardeckiego.

- Życzymy wam powodzenia. - Dyrektor uśmiechnął się niepewnie. W duchu przyznawał, że obaj mieli porównywalne szanse. On na zimnej planecie pod ostrzałem przeciwnika, komandor w pustej przestrzeni, pozbawionej energii.

- Trzymajcie za nas kciuki, realizujemy plan - nic więcej nie przyszło Emmerichowi do głowy, bo czego więcej mógł życzyć ludziom uciekającym w pustkę. Może jeszcze aby nie zwariowali, patrząc przez następne osiem lat na te same twarze. Dopiero po dłuższej chwili wymaganej by sygnał dotarł do oddalającego się pojazdu, twarz komandora ożyła. Emmerich osłupiał, widząc jak wąskie, zaciśnięte usta dowódcy gwiazdolotu rozchylają się w

## Incydent...

---

uśmiechu, życząc zespołowi straceńców szczęścia. Skoro sytuacja zmusiła nawet takiego ponuraka jak Wardecki do uśmiechu to sytuacja musiała być poważna jak nigdy dotąd. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w szary, trójwymiarowy ekran, nawet gdy zniknęła zeń twarz komandora. Dopiero głos Andrei przywrócił go do rzeczywistości. Kobieta wyświetliła na głównym ekranie przypuszczalne miejsce lądowania pojazdów przeciwnika.

- ...podchodzą szybko dyrektorze - mówiła szybko, starając się panować nad swym głosem, nie zdając sobie sprawy z tego, że części Emmerich nie usłyszała.

- Rejestrujemy poduszki plazmy tworzącej się wokół wahadłowców, przy obecnym kursie z regionu lądowania będą mieli przynajmniej pięć kilometrów wędrówki do Price Town.

- Chcą zdobyć nieuszkodzone instalacje - rzucił przez zaciśnięte zęby dyrektor, obserwując uważnie główny ekran. Zza zakłóceń wywołanych strugami plazmy zobrazowanych na ekranie jako wielkie, szare obłoki z bieżącym odczytem temperatury, wyłonił się kadłub pierwszego wahadłowca a zaraz za nim następny. Trójwymiarowy obraz zamigotał, gdy chińskie pojazdy wyrzuciły kilkadziesiąt pułapek termicznych a gdy oczyścił się wystarczająco, by uzyskać jakieś odczyty, nie mogli dostrzec żadnego z lądujących wahadłowców. To mogło znaczyć tylko jedno, agresorzy byli już na powierzchni Rigil Prime.

Zaraz przyszło potwierdzenie z wysuniętego posterunku piechoty, który zameldował trzy jasne obiekty, miękko siadające tuż za horyzontem.

- Zaczęło się - drewnianym, skrzypiącym głosem przesyconym strachem obwieściła Andrea wciąż obserwując pusty ekran. Dyrektor pokiwał potakująco głową ale ogromny ciężar odpowiedzialności, który czuł dotąd

## Incydent...

---

w piersi gdzieś znikł. W obliczu zagrożenia odzyskał jasność i swobodę myśli. Spokojnie przełączył główny ekran na wskazania radarów dalekiego zasięgu i sieci ośmiu orbitalnych satelitów. Uchwycony niemal natychmiast „Mao” szybko się wznosił.

- Oho, muszą używać napędu głównego - odezwał się jeden z operatorów spokojniejszym głosem - w takim tempie osiągnie orbitę geostacjonarną za cztery godziny.

- Zatem przygotujmy się do ataku - rzucił swobodnie Emmerich, uśmiechając się do bladej asystentki. Wydawało się jej nawet, że mrugnął do niej okiem. Nierzeczywiste, jak cała otaczająca ją sytuacja, zdawało się jej, że rejestruje tylko pojedyncze obrazy, że czas się zatrzymał. Ale pewność siebie, którą emanował dyrektor udzieliła się obu operatorom. W głośnikach zabrzmiał jasny, silny głos kapitana Roena. Na wspomnienie muskularnego, przystojnego bruneta, strząsnęła z siebie uczucie panicznego, obezwładniającego strachu. Na chwilę ukryła twarz w dłoniach, chcąc jeszcze w jakże dziecinnym geście ukryć się przed światem. Przez chwilę poczuła się bezpieczna i wtedy, zza tej zasłony dobiegł ją troskliwy głos Emmericha.

- Chcesz coś na uspokojenie? - Potrząsnęła przecząco głową i podniosła wzrok - jestem wam potrzebna - powiedziała z nagłą siłą w głosie i dodała po chwili zastanowienia z błyskiem w oku. - I nie chcę nic przegapić z nadchodzącego widowiska.

- I takiego nastawienia potrzebuję - dyrektor z radością uderzył szeroką dłonią w udo ukryte pod twardą osłoną skafandra. Gdzieś w oddali rozbrzmiał warkot silnika spalinowego....

\* \* \*

## Incydent...

---

Wieczne mgły snuły się nisko nad horyzontem. Nagrzany w ciągu dnia grunt gwałtownie oddawał ciepło z odrobiną wilgoci, która pod wpływem zimnego powietrza tworzyła smugi, podświetlane przez zachodzące, czerwone słońce. Jak zawsze na Rigil Prime, rozgwieżdżona noc przychodziła bardzo szybko, przynosząc mróz i spadek ciśnienia i przepiękne widoki. Ukryty w wykopie żołnierz odziany w gruby skafander, dobrze chroniący przed zimnem ale ograniczający ruchy nie zwracał uwagi na zachodzące wokół zjawiska, jego oczy czujnie przepatrywały horyzont, zwłaszcza od strony wschodniej, gdzie wylądowały chińskie wahadłowce desantowe. To stamtąd dochodził dźwięk dieslowskich silników, dudniący z każdą chwilą coraz mocniej. Napastnik czuł się pewnie, nie maskował swych ruchów, sądził zapewne, że uda się po prostu wjechać do kolonii bez jednego strzału. W oddali rozbłysło białe światło, znikło i pojawiło się znowu. Po chwili następna smuga światła przeszła potężniejący mrok. Żołnierz w zdumieniu przetarł oczy. Nie mógł w to uwierzyć, ale pojazdy przeciwnika jechały przy włączonych reflektorach głównych, oświetlając sobie drogę. W silnym świetle zwiadowca dostrzegł pojedyncze sylwetki maszerujące przed pojazdami, znacznie większe od ludzi. Wiedział, co to znaczy – część chińskich żołnierzy była wyposażona w egzozkielety, umożliwiające przenoszenie ciężkiej broni. Uznał, że nie ma czasu dłużej czekać i przesunął widniejący na prawej dłoni suwak łączności.

- Posterunek numer cztery, melduje się Shalvin. - W niewielkiej słuchawce, przyklejonej do prawego ucha usłyszał mruknięcie sierżanta, więc meldował dalej.

- Widzę trzy - wychylił się bardziej, obserwując kolejny pojazd wyłaniający się zza wzgórza - nie, cztery pojazdy gąsienicowe lub kołowe podążające w naszym kierunku. Oświetlają sobie drogę przed sobą, jest też kilka-

## Incydent...

---

naście pancerzy osobistych. – Przez moment w eterze panowała cisza, jak gdyby żołnierz pozostał ostatnim żywym kolonistą na planecie i dopiero po dłuższej chwili odezwał się podniesiony nieco głos dowódcy.

– Na pewno cztery? I egzozkieletowe pancerze? Jak szybko jadą? – żołnierz westchnął cicho, spodziewając się takiej reakcji. Zazwyczaj zgadzał się ze wszystkimi decyzjami dyrektora Emmericha, ale mianowanie biotechnika sierżantem, nieważne jak popularnym i miłym, było zdecydowanym błędem. Poprzez dudnienie silników usłyszał klekotanie metalu i spokojnym pewnym głosem odpowiedział.

– Cztery pojazdy gąsienicowe, słyszę je wyraźnie. Osiem do dwunastu pancerzy egzozkieletowych. Będą przy mnie najwyżej za dziesięć minut. – Mówiąc to, wycołgał się tyłem cały czas obserwując nadjeżdżającego przeciwnika. Trudno było powiedzieć jak skuteczne mogą mieć detektory, zwłaszcza, że temperatura powietrza szybko spadała. Coraz trudniej było oddychać, więc żołnierz uruchomił umieszczony w masce system wzbogacania mieszanki tlenowej. W tym samym momencie ujrzał przed sobą rozbłysk i tuż obok, w zmarzniętą ziemię uderzył pocisk z działka, obsypując go zmrożonymi grudami. Nie czekał na drugi, celniejszy strzał, rzucając się przez niski płot szkółki ogrodniczej, by ukryć się w płaskiej szklarni, urządzonej w niewielkim, sztucznie wydrążonym zagłębieniu. Pod naciskiem lecącego z impetem ciała z trzaskiem pękły tafle wzmocnionego szkła, nie czyniąc szkody żołnierzowi. W powietrzu rozległa się palba ciężkiej broni palnej a w melodii silników wstąpiły nowe, mocniejsze tony. Chińczycy przyspieszyli, rozszerzając front by pojedynczy przeciwnik nie wymknął się bokiem. Ale Shalvin nie zamierzał uciekać. Spokojnie zdjął długi karabin przytwierdzony do plecakowego stelaża, jeden z

## Incydent...

---

sześciu tego typu na Rigil Prime. Nauka nawet na początku dwudziestego drugiego wieku nie mogła dostarczyć wystarczająco dużo energii dla ręcznej broni laserowej, a karabin, którą trzymał w dłoni był czymś pośrednim pomiędzy klasyczną bronią palną a energetyczną. Prostopadła, perforowana osłona lufy, mierząca niemal metr długości kryła potężny elektromagnes wyrzucający pocisk z plazmy wytworzonej w komorze tuż za nią. Energii dostarczał nadprzewodnikowy magazynek umożliwiający pojedynczy strzał. Samotny żołnierz posiadał dwadzieścia cztery naboje, dwa tuziny morderczych błyskawic, które mogły zatrzymać każdego. W oddali usłyszał jedną czy dwie komendy wykrzyczane po chińsku. Jednym naciśnięciem przycisku odbezpieczył mechanizm spustowy i ostrożnie wychylił się ponad poziom zamrożonego gruntu. W odległości niecałych trzystu metrów, wprost na niego jechały dwa ciężkie czołgi. Ich gaśienice, mimo znacznej szerokości, zapadały się w miękki grunt niemal do połowy kół. Przed nimi, niczym starożytna falanga szło sześciu żołnierzy odzianych w egzozskielety. Mechaniczne ramiona, zgięte w połowie, poruszały się powoli na boki, mechanicznie omiatając teren. Pod każdym z nich, wirowały potrójne lufy rotacyjnych karabinów maszynowych. Shalvin ułożył się wygodniej, nie zwracając uwagi na zagrożenie i wycelował w najlepiej widocznego żołnierza. W myślach powtarzał sobie jak mantrę „jak na szkoleniu, to jest tak jak na szkoleniu”. Przepisowo wstrzymał oddech ściągając spust. Usłyszał ciche „Wuuuf” gdy impuls energii uwolniony z nadprzewodnika uderzył w komorę plazmową i niemal natychmiast, w postaci plazmy został wyssany przez potężny impuls magnetyczny, formujący z rozgrzanej kuli wodoru wydłużoną strzałę, oświetlającą najbliższe otoczenie. Napastnicy jak gdyby zatrzymali się w pół kroku, gdy plazmowy pocisk trafił

## Incydent...

---

środkowy pancerz egzoszkieletowy. Lekki pancerz nie był zaprojektowany na takie uderzenie i jasna strzała, pozostawiająca za sobą znikający ślad rozgrzanej atmosfery, przeszła chińskiego żołnierza na wylot. Odpryski pocisku poszatkowały wewnątrz pancerza, powodując wybuch amunicji, który oświetlił okolicę, uszkadzając pancerz najbliższego żołnierza. Niemal natychmiast mroźne powietrze przeszły jazgot broni maszynowej a krawędź wgłębienia zagotowała się od uranowych pocisków, z łatwością przesywające półmetrową warstwę ziemi. Żołnierz zsunął się w dół, ale nie dość szybko. Jeden z pocisków przeszył na wylot lewą rękawicę, urywając koniec małego palca. Zaimplantowany pod pachą elektroniczny system wsparcia hormonalnego natychmiast podał środek przeciwbólowy, pozostawiając tylko uczucie dyskomfortu. Shalvin nie zwracając uwagi na zakrwawioną rękawicę, zwolnił rozładowany magazynek i natychmiast wsunął następny. Wtedy nad jego iluzorycznym schronieniem przemknęło kilka pocisków smugowych i usłyszał kojący dźwięk hydraulicznych siłowników „Lizarda” po czym znad krawędzi jego schronienia wyłoniły się lufa działa Gaussa, w które wyposażony był siegeboot. Raz po raz szyny błyskały wyładowaniami elektrycznymi, gdy maszyna wyrzucała z siebie pociski z utwardzonego wolframu. Do jego niewielkiej niecki wpadły dwie postacie, ubrane podobnie jak on, ale dzierżące w dłoniach klasyczną broń palną.

- Tęskniłeś co? - Zgryźliwy ton kolegi był dla żołnierza najlepszą muzyką. Pokiwał w odpowiedzi głową, wskazując na kierunek, z którego nadeszli Chińczycy.

- To wal z tej piekielnej rusznicy a my cię osłonimy - żołnierz zaczął się czołgać w górę, gdy nad całą trójką przeleciała kiść pocisków, rykoszetując na pancerzu „Lizarda”. Gdy wychylił się ponownie, musiał zmrużyć oczy



## Incydent...

---

od bijącego blasku. Przed nimi paliły się trzy skafandry i jeden z czołgów. Drugi stał z podniesioną lufą, a z miejsca montażu silnika dobywał się czarny dym. Trzeci cofał się powoli, ostrzeliwując się na ślepo próbując trafić siegeboota ukrytego za niskim murem. Tylko żołnierze w egzozskieletach ruszyli po obu stronach aby obejść samotny punkt oporu z obu skrzydeł. Shalvin przymierzył się i wypalił z karabinu plazmowego ponownie. Tym razem drżące ręce zawiodły i pocisk, choć wyżłobił na chińskim pancerzu głęboką, żarzącą się smugę, nie wyrządził przeciwnikowi większej krzywdy. Może dwie sekundy później rozległa się chińską odpowiedź, karabinowa palba z prawej strony, i zdławiony jęk jednego z towarzyszy. Shalvin przeładował broń i obrócił ją w stronę zagrożenia. Niecałe sto metrów od nich stał chiński pancerz egzozskieletowy. Z kamienną miną wycelował, widząc jak lufy obu karabinów Chińczyka skierowane wprost na niego kręca się coraz szybciej i nacisnął spust w chwili gdy powietrze przeszył ich głośny jazgot.

Pilot siegeboota, Waren, dostrzegł błysk z prawej burty i zdążył tylko obrócić głowę by ujrzeć jak plazmowy pocisk przesywa na wylot egzozskielec a jednocześnie górna część ciała Shalvina, trafiona seriami z obu karabinów Chińczyka zamienia się w krwawy pył. Pozostały przy życiu żołnierz wybiegł z zagłębienia, co sił w nogach by skryć się pomiędzy zabudowaniami. Pilot zacisnął zęby, wziął na cel dwóch towarzyszy maszyny rozbitej przez Shalvina. Cztery laserowe strzały usunęły niebezpieczeństwo, topiąc i niweczając chiński plan. Waren zaczął się cofać, chcąc opuścić oświetlony przez płomień teren walki, gdy usłyszał huk strzałów a maszyna, którą prowadził, zatrzęsała się pod uderzeniami czterdziestomilimetrowych pocisków. Na trójwymiarowym ekranie prezentującym stan techniczny maszyny poczęły pojawiać się żółte i

## Incydent...

---

czerwone fragmenty. Świadczyły one o uszkodzeniach i zniszczeniach, dokonywanych przez chińskie pociski. Zaczynało robić się niebezpiecznie. Pilot szybko zlokalizował zagrożenie w postaci trzech egzozkieletów i ostatniego czołgu, ledwie widocznego za dymami palących się wraków. Uruchomił działą Gaussa, likwidując największe zagrożenie. Nie docenił chińskich żołnierzy, którzy podszli na odległość niespełna pięćdziesięciu metrów i działając wspólnie unieruchomili nogi „Lizarda”. Działą laserowe z prawej strony otrzymało solidną dawkę zubożonego uranu i komputer bojowy automatycznie odrzucił je jako zbędne, szkodliwe obciążenie. Waren natychmiast obrócił kokpit w lewą stronę biorąc na cel przeciwnika. Wycelował raz, trafiając egzozkieletowy pancerz uszkodzony wcześniej przez Shalvina. I tym razem Chińczyk miał ogromne szczęście. Liczony w gigawatach laserowy impuls zerwał jeden z uniesionych karabinów rotacyjnych, ale przeszedł pod spodem lewego ramienia. Dwie sekundy później, dobrze wycelowana seria pocisków zrykoszetowała na osłonie kokpitu. Dwa z nich przeszły pancerny wizjer, trafiając Warena i zabijając go na miejscu. Lizard znieruchomiał, wciąż obrócony w lewo. Chińczycy przerwali ogień, przekraczając otwartą bramę, wchodząc do opustoszałej osady, pogrążonej w ciemnościach. Wciąż płonące na przedpolu wraki oświetlały agresorów, Chińczycy starali się wykorzystywać każdą możliwą zasłonę. Emmerich spoglądał z góry, z sali kierowania lotów na rozgrywające się wydarzenia, z niepokojem zerkając na główny ekran. Potrzebowali jeszcze co najmniej półtorej godziny, czasu, który właśnie się kończył. Gdzieś pomiędzy budynków wystrzelił pocisk plazmy, trafiając jednego z chińskich żołnierzy ukrytych w egzozkieletach. Jego uderzenie rozjarzyło zmechanizowaną nogę chińskiej maszyny na chwilę przed tym, jak

## Incydent...

---

rozprężające się fragmenty plazmowego obłoku zamienił kończynę w chmurę atomów. Zza głównego hangaru wyłonił się ciemny kształt „Lizarda”, który zasypał pozostałych dwóch chińskich śmiałków lawiną laserowych impulsów, wzbudzających oślepiające iskry na pancerzach egzozszkieletów. Jeden, dymiąc z uszkodzonych silników, wycofał się poza obszar kolonii, drugi nie miał tyle szczęścia. Idealnie wytopione dziury zamieniły opancerzony skafander egzozszkieletowy w podziurawiony dymiący wrak. Maszyna krocząca cofnęła się pomiędzy budynki, nie ścigając ostatniego Chińczyka, opuszczającego Price Town. Kilka strażów z ręcznej broni palnej zrykoszetoowało od pokiereszowanego pancerza egzozszkieletu, jednak przeciwnik zdołał się wycofać pomiędzy wraki pozostałe z natarcia. Dyrektor widział przez przyciemnione szyby, jak do przechylonego, nieruchomego „Lizarda” stojącego przy ogrodzeniu kolonii, podchodzi kilku żołnierzy. Chwilę później rozległ się pisk łączności krótkiego zasięgu i za pośrednictwem głównego ekranu rozległ się zdenerwowany głos sierżanta Wilcoxa.

- Straciliśmy trzech ludzi i Warena, cała wschodnia flanką odsłonięta - w głosie dawnego biotechnika pobrzmiwał strach i bezradność.

- No to na Boga, przesun jakąś sekcję w tamto miejsce! - Nie wytrzymał Emmerich. Zawsze lubił miłego, wiecznie uśmiechniętego trzydziestopięciolatka, mającego posłuch wśród swych współpracowników, ale słyhać było wyraźnie w głosie biotechnika, że nie radzi sobie w tak stresującej sytuacji.

- Rozkaz - ton sierżanta nie zmienił się na jotę. W tle rozległ się jego podniesiony, zdenerwowany głos, gdy wydawał polecenia. Dwójka żołnierzy ukryła się tuż przy unieruchomionym „Lizardzie”, pozostali cofnęli się nikiąc pośród cieni rzucanych przez budynki kolonii. Dyrek-

## Incydent...

---

tor cofnął się od okna i spojrzął na jednego z operatorów, czarnoskórego Scotta.

- Przejmiesz dowodzenie od Wilcoxa? - W głosie Emmericha zabrzmiało pytanie. W tej sprawie nie mógł wydać rozkazu. Operator skinął głową, wyłączył ekran, zszedł z fotela i zaczął spokojnie wkładać ekwipunek bojowy, którego cztery komplety leżały przy wyjściu. Dyrektor kolonii przez chwilę przyglądał się wystudiowanemu i szybkim ruchom nowego dowódcy osłony, po czym bezbłędnie włączył pasmo łączności piechoty.

- Uwaga, wysyłam do was w ramach wsparcia porucznika Scotta. Przejmie dowodzenie całością sił. Sierżant Wilcox obejmie flankę zachodnią. - W głębi duszy dyrektor miał nadzieję, że z tamtej strony nic im nie zagrazi. Nowo mianowany czarnoskóry oficer szybkim krokiem opuścił centrum kontroli lotów. W słuchawkach rozległ się jego spokojny i opanowany głos.

- Jeden z żołnierzy na ochotnika, do obsadzenia „Lizarda” - Scott wybiegł przed budynek i zachwiał się, gdy w jego płuca uderzył strumień rzadkiego, mroźnego powietrza. Przez moment walczył z omdleniem, szybkim gestem uruchamiając wzbogacanie mieszanki oddechowej. W tej samej chwili poprzez zakłócenia usłyszał Wilcoxa.

- Jak chcesz obsadzić uszkodzoną maszynę? Tam jest Waren. - Porucznik wznowił bieg w stronę sterczącej nieruchomo maszyny. Dotarł do niego w ciągu trzech minut, wdrapał się po opuszczonej lufie działa Gaussa i zajrzał do środka przez owalną dziurę pozostałą po jednym z chińskich pocisków. Ciało pilota leżało bezwładnie a zamrznęte plamy krwi zdążyły pokryć się szronem.

- Bez wątplenia jemu już się ta maszyna nie przyda - dopiero teraz, z brutalną szczerością stwierdził Scott. Odpowiedziała mu wymowna cisza w słuchawkach. Zeskoczył z maszyny lądując tuż przy murku, za którym

## Incydent...

---

ukryła się sekcja strzelecka. Chciał coś powiedzieć, gdy na przedpolu rozległ się huk i tuż obok ich pozycji rozległ się wybuch. Niska brama jęknęła gdy ciężki pocisk z działa naruszył jedno z jej skrzydeł. W powietrzu zafurkotały odłamki i fragmenty lekkiej aluminiowej konstrukcji. Scott zaklął, czując ból w prawej dłoni, rychło zniwelowany przez cybernetyczny układ hormonalny. W prawym przedramieniu, niczym starożytna indiańska strzała tkwiła aluminiowa drzazga, chwając się lekko na końcu. Czarnoskóry porucznik upadł ciężko, starając się nie urazić rany, mając jednocześnie ochotę solidnie kopnąć się w tyłek. Zamiast zacząć od zabezpieczenia pozycji, rozpoznania przedpola, zabrał się do oglądania siegeboota. Zerknął na jednego z żołnierzy, który wystraszony, spoglądał na jego ranę. Pamiętał tę twarz. Wysilił nieco szare komórki i olśniło go, to był Jimm Herize pracujący w stacji kontroli zasiewów.

- Jimm - wezwany dopiero po chwili oderwał oczy od aluminiowej drzazgi. Z niepokojem popatrywał to na twarz, to na przedramię dowódcy.

- Dwa czołgi, tyraliera piechoty - zameldował drugi z żołnierzy, lekko wychylony ponad mur. Scott widział, jak wysuwa przed siebie karabin i celuje w niewidoczny dla porucznika obiekt.

- Jimm, szkolłeś się w jeździe „Lizardem”? - Herize odpowiedział skinieniem głowy. W oddali rozbrzmiał kolejny wybuch, obsypując ich grudami zmrożonej ziemi. Żołnierz z wahaniem wyciągnął z podręcznego pojemnika krótki palnik plazmowy i dwoma ruchami odciął wystające z obu stron części aluminiowego pręta.

- To było tylko szkolenie podstawowe panie poruczniku - mruknął z zaciekawieniem oglądając swe dzieło.

- Jak dłoń? - W głosie Herize czuć było autentyczną troskę. Scott poruszył palcami czując lekkie mrowienie

## Incydent...

---

spowodowane napływem środków przeciwbólowych podawanych bezpośrednio do krwioobiegu oficera.

- Nieźle - rozległ się strzał a zaraz za nim krótka seria. Drugi żołnierz ukrył się za murem, który zadudnił pod uderzeniami pocisków.

- Są coraz bliżej - ostrzegawczo mruknął strzelec. Scott spojrział na niego a potem na Jimma.

- Żołnierzu, od ciebie zależy wszystko. Osłonimy cię ogniem a ty wskoczysz do Lizarda. Uruchomisz go i zlikwidujesz oba czołgi. - Herize ścisnął karabin i energicznie skłonił głowę, stanąwszy przodem do przechylonej maszyny, gotowy do skoku.

- Na trzy cztery - Scott wskazał ruchem głowy przedpole drugiemu żołnierzowi. Razem wychylili się, żołnierz natychmiast otworzył ogień, porucznik wyteńczył wzrok, dostrzegając niemal natychmiast poruszającą się skokami lekką piechotę a za nimi niczym dwie złowrogie wieże, ciężkie czołgi szczerzące działa kalibru sto sześćdziesiąt milimetrów. Przymierzył się do jednego z biegnących i nacisnął spust trzymanego w dłoniach M-218C3. Huknęła trzystrzałowa seria pocisków, trafiając idealnie w środek postaci. Cel zwinął się w skoku i znieruchomiał. Scott natychmiast schował głowę za mur gdy staccato pocisków przeciwnika zagrało po drugiej stronie osłony. Zaklął pod nosem i włączył system celowniczy umieszczony na soczewce kontaktowej założonej w prawym oku. Ułamek sekundy trwało dostrajanie się komputera i w przestrzeni przed porucznikiem zajaśniała uspokajająca wirtualna zielona kropka. Dostrzegł ruch po prawej stronie i obrócił się by dostrzec, jak zeszywniałe ciało Warena stacza się po mechanicznej nodze „Lizarda”. W narastającej palbie usłyszał hydrauliczne siłowniki, zamykające kokpit. Wychylił się ponownie przez mur a system celowniczy natychmiast wskazał mu zarys sylwetki przeciwnika

## Incydent...

---

wraz z potencjalnym punktem trafienia. Wycelował i nacisnął spust, ale w tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk wybuchu pocisku, który rozerwał się tuż przed murem, częściowo go niszcząc. Ogłuszony Scott, odrzucony podmuchem potoczył się do tyłu gubiąc karabin. Zdołał dostrzec krwawy ślad i resztki skafandra będący jedyną pozostałością po strzelcu, który wspierał go w boju. W ciemnościach rozciągających się przed nim widział ruch sylwetek chińskich żołnierzy w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów z nastawioną do boju bronią. Czuł przyjemne ciepło rozlewające się po całym ciele wraz z silnymi środkami przeciwbólowymi. Bezosobowo pomyślał, że dobrze byłoby się zająć taką ilością przeciwników. W tym samym momencie mroźne powietrze przeszył dźwięk uruchamianych turbin silnika termojądrowego. Lizard tkwiący dotąd bezwładnie nagle wstał, obrócił się i zasypał zaskoczonego przeciwnika pociskami z działa Gaussa, strzelającego ostrymi, wolframowymi szrapnelami. Żołnierze, wyposażeni jedynie w własne lekkie pancerze nie mieli szans trafiani z tak niewielkiej odległości. Scott z trudem łapiąc oddech widział, jak kilku Chińczyków zamieniło się w krwawą mgłę trafieni pociskami przeznaczonymi do likwidowania ciężko opancerzonych celów. Zmrożone, rzadkie powietrze przeszył zapach ozonu, gdy „Lizard” rozpoczął automatyczny ostrzał z działa Gaussa, celując w lepiej widoczny czołg po prawej stronie. Trudno było stwierdzić, czy ostre, wolframowe pociski odniosły jakiś skutek gdyż rozległ się huk ciężkiego działa i potężny wybuch zerwał jedną z nóg siegieboota, ciskając go w szczątki bramy. We wrak natychmiast zaczęli strzelać chyba wszyscy żołnierze biorący udział w natarciu do których rychło dołączyły dwa egzozskieletowe pancerze, które wyłoniły się zza północnego wzgórza. Przez dłuższą chwilę słychać było jedynie



## Incydent...

---

palbę broni różnego kalibru i jęki katowanego metalu. Półprzytomny Scott zdołał jedynie zaobserwować fragment osłony kokpitu, przerzuconego falą uderzeniową wybuchu ponad jego ciałem. Słyszał bliskie już, niezrozumiałe chińskie komendy. Uniósł z wysiłkiem głowę, by spojrzeć na nadchodzącego przeciwnika, ze zdumieniem obserwując zakrwawiony przód swego skafandra. I wtedy usłyszał brzęczenie silników termojądrowych zbliżających się od strony centrum osady. Gdzieś za zniszczonym murkiem rozległy się szczekliwe rozkazy i zapadła cisza, przzerwana wibrującymi dźwiękami uruchamianych rotacyjnych dział laserowych. W unoszących się zewsząd oparach błysnęły na moment celownicze wiązki laserowe. Kilkadziesiąt impulsów zmiażdżyło wręcz oba pancerze egzoszkieletowe pastwiące się nad rozbitym Lizardem. Na przedpolu rozległy się dwie następujące szybko po sobie detonacje. Jeden z pocisków ugodził w budynek warsztatowy, który bluznął jasnozielonym płomieniem palących się tworzyw kompozytowych. Upiorny blask ognia ujawnił dwa stojące niemal przy sobie Lizardy kroczące powoli naprzód, nie przestając zasypywać wroga strumieniami zabójczej energii. Tuż obok wzniosły się dwa potężne słupy ziemi wzniesione eksplodującymi czołgowymi pociskami. Warczące odłamki iskrząc, rykoszetowały od pancerza Lizardów, zdając się nie czynić im najmniejszej krzywdy. Nie dało się jednak nie zauważyć szybkości z jaką obaj piloci przenieśli ogień na grożące im śmiertelne zagrożenie. Chiński czołg począł się cofać, ale kilka laserowych salw zniszczyło oprzyrządowanie wieży i uszkodziło uzbrojenie. Chwilę później jeden z wolframowych pocisków działa Gaussa zniszczył gąsienicę i wielka góra stali znieruchomiła w pobliżu swych mniejszych towarzyszy. Pomiedzy maszynami kroczącymi przebiegło trzech żołnierzy prowadzonych przez sierżan-

## Incydent...

---

ta Wilcoxa. Kilkoma szybkimi susami pokonali odległość dzielącą ich od leżącego na plecach, nieprzytomnego porucznika. Zmrożony, brunatny śnieg zmieszany z krwią przykrywał poszarpany przód skafandra, gdzie uderzył cały rój odłamków. Cybernetyczny układ dokrewny musiał podać oficerowi końską dawkę chemii wzmacniającej i zbijającej ból ale i tak wyglądało na to, że Scott nie przeżyje transportu do głównego budynku kolonii. Ostatnie sylwetki chińskich żołnierzy skryły się w mroku. Obaj piloci Lizardów obserwowali paniczną niemalże ucieczkę przeciwnika w swych kokpitach, starannie oglądając palące się wraki i oddalające się sylwetki żołnierzy. Korzystając z uspokojenia sytuacji, szczęknęły awaryjne włączy uszkodzonego chińskiego czołgu i za jego szerokim kadłubem wyłoniło się trzech Chińczyków. Czołgali się, byle dalej od pola walki bez przeciwdziałania ze strony Amerykanów. Wilcox przez chwilę obserwował sylwetki żołnierzy przeciwnika niknące w ciemnościach, po czym w milczeniu wskazał bezwładnego Scotta swoim ludziom. Ci ostrożnie powlekli go poza linię na której stały oba Lizardy niczym dwaj średniowieczni rycerze, blokując dostęp do swej domeny. Sierżant przez moment zamierzał podejść bliżej do linii stanowiącej niegdyś granicę osady, teraz upstrzonej kraterami po wybuchach ciężkich pocisków, ale zatrzymał się w pół kroku. Na resztkach muru dostrzegł nogi kończące się w pasie zmiażdżonymi wnętrzościami a nieco dalej trzy popalone ciała chińskich żołnierzy, którzy zginęli w jednej chwili trafieni serią laserowych impulsów. Odwrócił wzrok od mdłego widoku a blask dogasającego już zielonego ognia ujawnił roztrzaskany wrak Lizarda pilotowanego przez Jimma Herize. Kokpit znikł, podobnie jak jeden z boków pojazdu wraz z działem Gaussa. Nie było tam czego ratować. Wilcox cofnął się pomiędzy siegebooty i włączył nadajnik.

## Incydent...

---

- Scott ciężko ranny, transport do centrum kontroli lotów w toku. Straty bezpowrotne, jeden Lizard i dwóch żołnierzy. Możemy nie przetrwać drugiego ataku - tym razem lepiej panował nad swym głosem. Wydawało się, że makabryczny widok rozczłonkowanych ciał przywrócił mu równowagę psychiczną. Jednym ruchem dłoni poprawił maskę i zwiększył nieco dopływ tlenu ignorując ostrzeżenia komputera nawigacyjnego, wyświetlane u dołu soczewki kontaktowej i powędrował wzrokiem za cienką smugą krwi, którą pozostawiało za sobą bezwładne ciało Scotta.

- Przyjąłem. - Zabrzmiał w słuchawce drżący głos dyrektora. Andrea i ostatni operator spojrzeli na swego dowódcę. Do niego należała decyzja. Toroid osiągnął już orbitę geostacjonarną, wisząc nad punktem odległym od Price Town o niespełna sto pięćdziesiąt kilometrów. Wciąż nie zarejestrowali przygotowań do opuszczenia windy orbitalnej a czas nieubłaganie się kończył. Zmiazdzenie prawej flanki i utrata jednego z trzech siegebootów wydawała się gwoździem do trumny. Emmerich zdawał sobie sprawę, że starcie było tylko rozpoznaniem przed właściwą walką. Gdy Chińczycy naprawdę ruszą, nie wytrzymają nawet pięciu minut. Na chwilę zamknął oczy ale zaraz je otworzył, słysząc wezwanie z południowego stanowiska obronnego.

- Dyrektorze, idą na nas - dziewczęcy głos Andrei drżał mocno w zapadłej nagle ciszy. Spojrzała wprost w oczy swego przełożonego, partnera, z którym łączyło ją tak wiele. Jakże często musiała gryźć się w język by zwracać się oficjalnie w obecności innych.

- Johnny - powiedziała ciepło, nie zwracając uwagi na zaskoczoną minę operatora. - Idą po nas. Meldują sto panczerzy egzoszkieletowych i kilkanaście czołgów. -

## Incydent...

---

Emmerich zszedł z fotela, idąc powoli w kierunku dziewczyny.

- Wywołaj dowódcę myśliwców - poleciał operatorowi, nie odwracając głowy. Stał przed fotelem swej asystentki, która nie wyłączając ekranu, wstała i chwyciła smukłe, szorstkie dłonie Emmericha. Ten patrząc jej w oczy powiedział przed siebie.

- Roen, startujcie. Będziemy podawać namiary jak długo się da. Macie niecałe dziesięć minut. - Mówiąc to przygarnął niską dziewczynę, wtulającą się niczym przerażony kot w szerokie ramię mężczyzny. W oddali zabrzmiał huk strzału czołgowego działa i jednocześnie rozległ się baryton myśliwskiego pilota.

- Kapitan Wiliam Roen melduje start eskadry. Nie zawieziemy was - w centrum kontroli lotów zapadła cisza. Za cienkimi ścianami budynku zabrzmiał szum i narastający grzmot uruchomionych na pełnej mocy silników startowych. Trzy myśliwce pomiędzy dziesiątkami pocisków smugowych pomknęły w górę, wprost w rozgwieżdżone niebo.

## OSTATNIA SZARŻA

Intensywny szum powietrza powoli cichł w miarę jak niebo stawało się coraz czarniejsze. Osłona kokpitu ściemniała, blokując dopływ nadmiernego promieniowania gwiazdy centralnej, która wyłoniła się zza planety. Pilot z niepokojem spojrział na odczyty wskazań przyrządów. Temperatura matowych, czarnych powierzchni powłok kadłuba spadała zbyt wolno, narażając go na wykrycie. Nacisnął jeden z przycisków na zespolonej dźwigni sterowania i z kilkuset kanałów o średnicy mikronów

## Incydent...

---

trysnęły strugi ciekłego wodoru. Spowity one cały kadłub myśliwca mgiełką, schładzając jednocześnie poszycie pojazdu o sto osiemdziesiąt stopni. Pilot rozejrzał się w obie strony by ujrzeć jak obie towarzyszące mu maszyny wykonują ten sam zabieg. Dziobowe dysze korekcyjne całej trójki zabłyśły, zbliżając się do siebie na odległość zaledwie kilku metrów, umożliwiającą kontakt za pomocą słabych sygnałów NSR, zostawiając za sobą szybko rozpraszającą się chmurę wodoru.

- Roen do skrzydłowych - ze środkowej maszyny popłynął głos dowódcy klucza.

- Meldować gotowość - szczypty, o zaciętej twarzy i kruczoczarnych, ściętych na jeża włosach kapitan z uwagą obserwował namiary przekazywane z Price Town. Nadal otrzymywali dane w czasie rzeczywistym, mimo, że od startu minęło już czternaście minut. Z uznaniem pomyślał o Emmerichu. Zawsze uważał go za niemal idealnego gubernatora ich niewielkiej kolonii, ale nie spodziewał się w nim takiego hartu ducha, takich zdolności dowódczych, pozwalających wydobyć z kolonistów odwagę i bojowość. W tym momencie przekaz z planety zanikł, co mogło znaczyć tylko jedno, zniszczenie lub wyłączenie stacji naziemnej.

- Jedyńka OK. - odezwał się niemal chłopięcy drżący podnieceniem głos Leo Ganetta, nie mogącego się doczekać pierwszej kosmicznej walki. Nie powstrzymał się nawet od pomachania dłonią ukrytą w rękawicy, ledwie widoczny przez przyciemnioną osłonę kokpitu. Widząc rozdziawioną w szerokim uśmiechu twarz młodego pilota, Roen pokręcił głową.

- Dwójka OK. - dla odmiany spokojny, wręcz mroczny głos Davida LeSpase dziwnie kontrastujący z francuskim akcentem niskiego, śniadego pilota, zjednującego mu nie jeden raz kobiety, nawet na Rigil Prime. Żaden sy-

## Incydent...

---

gnał radiowy nie dobiegał już z powierzchni planety, nie sposób było się oprzeć myśli, że pozostali sami. Trzech przeciw milionom. Obezwładniające uczucie strachu nawet na moment nie zagościło w żelaznym umyśle kapitana. W pamięci przesuwano mu się dwadzieścia twarzy kolonistów poświęcających się po to, by mieli tę szansę. Z zaciętą miną uruchomił wszystkie skanery pasywne, obserwując przestrzeń przed sobą. Nadal wznosili się, tracąc z każdym metrem pęd nabrany przez dwieście kilometrów szybkiego lotu w górę, pochłaniany przez grawitację planety. Zza czarnego sierpa wyznaczającego krzywiznę globu Rigil Prime wyłoniła się Alfa Centauri A, w jej odległym świetle można było dostrzec niewielką kropkę, cel trójki śmiałków. Myśliwiec dowódcy na moment uruchomił dysze korekcyjne ostatecznie powstrzymując wznoszenie.

Chwilę później manewr powtórzyli obaj boczni. Trzy SF-9 Wasp, szczytowe osiągnięcie amerykańskiej myśli technicznej, miały teraz zdać egzamin bojowy na niebie obcego układu gwiazdowego, w całkowitym osamotnieniu. Roen w zamyśleniu spoglądał na ciemną przestrzeń i rozciągającą się poniżej powierzchnią Rigil Prime, skutą wiecznym lodem, bez śladu roślin czy zwierząt. Zostali tylko oni i nawet największy sukces jaki mogli osiągnąć zgodnie z planem dyrektora Emmericha, czyli zniszczenie windy orbitalnej, niewiele mogło zmienić. Ponuro dywagował w myślach, że Chińczycy i tak wezmą we władanie tę planetę. Federacja Ameryki Północnej spóźniła się z kolonizacją tej części układu o dobre czterdzieści lat....

- Toroid w zasięgu skanerów optycznych - z zamyślenia wyrwał dowódcę głos LeSpase'a, zazwyczaj nieujawniającego żadnych emocji, tym razem jednak mówiącego z ukrytą satysfakcją w głosie.

## Incydent...

---

- Rozwijają windę. Szefie rozwijają tą diabelską wstęgę – kapitan podzielał radość swego podwładnego. Na widok toroidu zapomniał o dręczących go wątpliwościach, teraz liczył się cel. Kamera optyczna wysokiej rozdzielczości, umieszczona w dziobie myśliwca, potwierdziła słowa Davida. Pod szeroką, półokrągłą betonową ścianą zewnętrzną, pokrytą tytanowym oplotem przeciwmetyorytowym pojawiła się wąska, opalizująca wstęga. Opuszczała się ona z centralnej części toroidu, ukrytej przed wzrokiem nadlatujących myśliwców. Jej zewnętrzne krawędzie skrzyły się w świetle gwiazdy pomarańczowymi iskrami, tańczącymi na całej długości konstrukcji. Cała trójka przez moment wpatrywała się w majestatyczny widok rozciągający się przed nimi. Obracająca się majestatycznie chińska kolonia rozciągała się na niemal trzydzieści kilometrów.

W miarę, jak się wznosili, widoczne były coraz mniejsze szczegóły, wydawało się, że toroid przechyliła się na bok, odsłaniając swe wnętrze – kilkadziesiąt grubych na sto metrów, gigantycznych „szprych” łączących obwód toroidu z jego centralną częścią srebrzystym cylindrem, którego podstawa miała ponad kilometr średnicy. To właśnie tu mieściła się winda orbitalna, opuszczana w rzadką, mroźną atmosferę Rigil Prime. Dowódca klucza przez dłuższą chwilę obserwował stację, z niechęcią przyznając w duchu pierwszeństwo Chinom w budowie największych instalacji w kosmosie. „Sprawdzimy czy są równie wytrzymałe, jak wielkie” – pomyślał zgryźliwie, wypuszczając nieco wodoru, by ponownie schłodzić pozycje pojazdu. Subtelne pchnięcie silnikami korekcyjnymi skierowało maszynę Roena w dół.

- LeSpase i ja podejmiemy od dołu. Cel, kotwy windy orbitalnej – mruknął w mikrofon kapitan, poprawiając pasy trzymające go w fotelu. - Ganett, będziesz nas osła-



## Incydent...

---

niał. Zwracaj szczególną uwagę na górną krawędź obwo-  
du, zgodnie z raportem, tam są hangary.

- Rozkaz - w głosie młodego pilota słychać było wy-  
raźnie zawód. Spodziewał się wziąć udział w decydują-  
cym ataku a nie pełnić rolę dozorczy, pilnującego tyłów.  
Roen doskonale rozumiał odczucia podopiecznego, ale  
nie śpieszył się z odpowiedzią, pozwalając mu się przez  
chwilę gryźć samemu ze sobą. Dopiero po kilku minutach  
dodał tonem wyjaśnienia.

- Nie wiem, czy mają tam jakieś uzbrojenie. Nagrywaj  
nasze podejście. Jeśli nam się nie uda, będziesz naszą  
ostatnią szansą.... - Tym razem usłyszał energiczne „Tak  
jest” i wyobraził sobie jak też ten jeszcze nastolatek po-  
kraśniał z dumy. „Szczeniak” pomyślał Roen o swym mło-  
dym podwładnym, a na jego twarzy na moment pojawił  
się uśmiech. Uruchomił główne silniki przesuwając dźwi-  
gnię mocy wzdłuż niebieskiego pasa z cyfrowym napisem  
„cold” niemal do samego końca. Z dysz obu silników  
buchnęły strugi wodoru o temperaturze niemal ośmiuset  
stopni. Myśliwiec kapitana wysunął się spomiędzy ma-  
szyn swoich bocznych, nabierając pędu a za nim jak cień  
podążyła maszyna LeSpasa. Parując obłokami wodoru,  
bez jednego sygnału pędzili w stronę potężniejszego z  
każdą chwilą toroidu. Widzieli już rzędy niewielkich wy-  
dawałoby się okien, świecących przyjaznym żółtawym  
blaskiem, wyglądających jak setki cętek na potężnym ob-  
łym kadłubie. Obaj wiedzieli, że każda z tych „cętek” liczy  
niemal pięćdziesiąt metrów długości. Niewiadomą były  
tylko systemy namierzania i ewentualnego uzbrojenia te-  
go betonowego potwora. Roen w skrytości ducha liczył na  
zadufanie Chińczyków i ich słaby wywiad, ostatecznie na  
powierzchni dali się zaskoczyć. Potrzebowali jeszcze  
piętnastu minut spokoju, tylko kwadrans, by pogrzebać  
nadzieję przeciwnika na szybką kolonizację, zniweczyć

## Incydent...

---

plan szybkiego zajęcia całej planety. A to dawało szansę przeżycia pozostałym na powierzchni. Mknęli coraz szybciej i wtedy na głównym ekranie, umieszczonym centralnie przed pilotem pojawił się pojedynczy punkt a zaraz potem drugi. Ekran natychmiast rozszerzył się w trzeci wymiar, ukazując wzajemne położenie nieznanymi obiektów w stosunku do nadlatującego myśliwca. Obok zajaśniały litery układając się w napis „Alamo”, kolejno pojawiające się przy następnych punktach. Kapitan już wiedział, nie zdołali podejść na odległość strzału po cichu i spokojnie, napastnik po dwóch porządnych kuksańcach wymierzonych przez bezbronny wydawało się przeciwnika, był czujny. Nie potrzebując się już kryć, Roen zdecydowanym ruchem chwycił dźwignię mocy przesuwając ją do samego końca, wkraczając w obszar oznaczony czerwonym pasem z jaśniejącym napisem „hot”. Dysze myśliwca bezgłośnie zajaśniały białym, nieziemskim światłem plazmy, w którą zmieniał się wodór, podgrzany przez główny reaktor pojazdu do niemal stu tysięcy stopni wciskając pilota w fotel z przeciążeniem pięć g. Doskonale widoczny zarówno na skanerach jak i gołym okiem, ale piekielnie szybki. Liczył na ten pęd i na zaskoczenie przeciwnika nagłym manewrem. Jedno muśnięcie palca wystarczyło, aby uruchomić aktywne systemy rozpoznania, które omiotły otaczającą ich przestrzeń falami różnej długości. Przed sobą, za pośrednictwem soczewki kontaktowej dostrzegł najbliższy, najbardziej niebezpieczny obiekt. Błyskawicznie wziął go na cel, obserwując odczyty przekazywane w czasie rzeczywistym i zmniejszając się odległość. Chińscy piloci a było ich coraz więcej, postanowili najwidoczniej nie dopuścić ich w pobliże toroidu, również uruchamiając plazmowe dopalacze, pobłyskując nimi wyraźnie na tle czarnego nieba. Roen bez zmiany jednego nerwu na twarzy wypuścił trzy pociski z działa

## Incydent...

---

Gaussa, które na jego oczach rozprysły się tworząc morderczą zaporę, mknącą w stronę Chińczyka. Komputer za pośrednictwem soczewki nakreślił mu dwa obiekty geometrycznie zbliżone do prostokątnych kół, zbliżające się błyskawicznie z prawej strony. Przeciwnik również prowadził ogień a głowice raket wyposażone w dziesiątki podpocisków potrafiły być równie zabójcze jak ich pociski dział Gaussa. Nim zdołał cokolwiek pomyśleć, komputer nawigacyjny przejął na chwilę kontrolę nad sterami, szarpiąc całym kadłubem w górę, unikając setek wirujących wolframowych drzazg. Tylko dwie lub trzy zahaczyły o kadłub, przesywając go na wylot i nie wyrządzając większych szkód. Roen przez ułamek sekundy uważnie obserwował wskazania i z uczuciem ulgi zaczął się rozglądać za celem. Wtem z prawej strony w oddali rozjarzyła się naraz kula ognia, zalewając kokpit kapitana przeraźliwie jasnym światłem. Fotochromowe pokrycie zareagowało natychmiast, przyciemniając tę część osłony. LeSpas zdobył widocznie swój pierwszy łup.... Skanery raportowały już niemal pięćdziesiąt celów. Pięćdziesiąt!, Roen zrezygnowanym ruchem, bezbłędnie wybrał system łączności alarmowej i mruknął mikrofon łączności krótkiego zasięgu, uruchamiając rotacyjne lasery.

- Ruszaj Ganett, teraz każdy ma jednakowe szanse... - widział końcówki wirujących luf i w jakimś momencie nagle wszystko oszalało, gdy lufy prawego lasera w niewytłumaczalny sposób rozjarzyły się blaskiem, odgięły na zewnątrz i rozprysły w przestrzeni. Jeden z odłamków broni z ogłuszającym hukiem, jaki rozległ się w kokpicie, uderzył w osłonę. W miejscu uderzenia pojawiły się delikatne pęknięcia i komputer natychmiast obniżył ciśnienie atmosfery wprowadzając do niej większy udział tlenu. Roen natychmiast podrzucił maszynę do góry, by zejść z linii strzału sprytnego chińskiego pilota, rażącego go

## Incydent...

---

gdzieś z przestrzeni promieniami lasera. Trudno było powiedzieć, który z nich go zaczepił. Kapitan nie zastanawiając się długo ustawił myśliwiec w pozycji strzeleckiej do najbliższego przeciwnika i nacisnął spust. Drugie, sprawne działo laserowe rozpoczęło ogień, rażąc jednego z chińskich J-20 Cang Jing nieświadomego zagrożenia, odwróconego grzbietem do napastnika. Rzadko się zdarzało podczas walki w kosmosie, że cel i atakujący widzieli się wzajemnie. Wiliam Roen wpatrywał się teraz jak urzeczony w swe dzieło. Impulsy lasera iskrząc tworzyły dziury w poszyciu, przesuając się niczym gigantyczny palnik plazmowy niszcząc kolejne płyty tytanowej blachy. Trwało to ułamki sekund, nim jeden z impulsów nie trafił w baterię termojądrową zamieniając chiński myśliwiec w kulę plazmy. Niemal jednocześnie rozległ się w kokpicie wrzask LeSpase'a gdy dobrze wycelowana salwa rakiet poszarpała jego myśliwiec. Roen nie bacząc na nic skierował na przyjaciela obiektyw kamery wysokiej rozdzielczości. W kadłubie Waspa ziały ogromne dziury, zewsząd uciekała atmosfera, tworząc za lecącym bezwładnie myśliwcem jasny welon gazu, podpalany przez jedną, wciąż działającą dyszę silnika. Kapitan przesunął wzrok na wskazania skanerów, chińscy piloci rzucili się niczym wygłodniałe wilki ku płonącemu Amerykaninowi. Odwrócił swój pojazd, zwalczając chęć rzucenia się na pomoc podwładnemu. Odwrócił kamerę i skierował ją na podstawę toroidu. Tam dostrzegł cztery szare, matowe uchwyty w formie litery „U”. Każdy z nich mierzył niemal cztery metry grubości i aby zniszczyć przynajmniej dwa z nich musiał podejść na śmieszna w skali kosmicznej odległość niespełna stu kilometrów. Roen na chwilę zerknął w dół, a soczewka optyczna pokazała obraz rozciągający się pod podłogą maszyny. Myśliwiec LeSpase'a schodził coraz niżej, gubiąc fragmenty poszycia, zostawiając za so-

## Incydent...

---

bą długi warkocz gazu i szczątków. Gdy kapitan odwracał już wzrok, w zranioną maszynę uderzyła kolejna głowica, zamieniając Waspa w kulę ognia rozszerzającą się bezgłośnie. Ostry sygnał alarmowy przywrócił Roena do rzeczywistości gdy jedno z krótkich skrzydeł rozbłysło oślepiającymi iskrami i na jego poszyciu pojawiły się trzy wytopione dziury, z których począł ulatniać się tlen. Zareagował instynktownie, włączając boczne silniki manewrowe i cała seria impulsów laserowych przeszła już poza skrzydłem. I wtedy, lecąc bokiem, dostrzegł w oddali myśliwiec Ganetta mknącego na pełnej mocy silników w stronę głównego celu. Natychmiast zwrócił się w tym samym kierunku, starając się nie myśleć o chińskich maszynach, które minęły ich łukiem i teraz podchodziły od rufowego sektora. Nie liczyło się już nic poza czterema uchwytami windy orbitalnej. Roen uchwycił w główny celownik jedna z potężnych klamer gdy myśliwiec podskoczył do góry, pchnięty dolnymi silnikami manewrowymi. Tym razem reakcja komputera nie wystarczyła, gdy sześć wolframowych podpocisków przeszło kadłub myśliwca dowódcy klucza niemal prostopadle do toru jego lotu. Strzelec miał ogromne szczęście trafiając Roena mimo jego ogromnej prędkości kątowej. Trzy pociski nieszkodliwie przeszły płyty poszycia i poleciały w przestrzeń. Czwarty pocisk trafił w dyszę silnika manewrowego, przerywając przewód. Nim automat odciął dostęp paliwa do uszkodzonej sekcji, wyrzucany pod dużym ciśnieniem gaz ze zniszczonej instalacji pchnął myśliwiec w niekontrolowane obroty. Pozostałe dwa pociski utkwily w osłonie baterii termojądrowej i tylko nagły obrót maszyny zmieniający tor lotu pocisków ocalił Roena od śmierci w kuli ognia syntezy termojądrowej. Kokpit zabłysł światłami awaryjnymi, zgłaszając chyba wszystkie możliwe uszkodzenia. Kapitan niepomny na wszystko wyrównał

## Incydent...

---

wirującą maszynę wprowadzając ją ponownie na kurs w stronę toroidu. Na ekranie holograficznym pojawił się znak radioaktywności i komputer podjął automatyczne działania ratunkowe. Trafiona przez chiński pocisk bateria termojądrowa utraciła szczelność a przez powstały otwór począł uciekać gaz neutronowy. Spadek ciśnienia wywołał niekontrolowane rozszerzanie reakcji termojądrowej. Liczyły się ułamki sekund, bezgłośnie eksplodowały sworznie pirotechniczne, utrzymujące kokpit w kadłubie myśliwca a umieszczony poniżej jednorazowy silnik raketowy potężnym impulsem odepchnął kapsułę wraz z pilotem daleko w górę od uszkodzonej maszyny. Ogromne przeciążenie zawężyło obszar widzenia kapitana, ale zdołał dostrzec nieziemskie, błękitne światło dobywające się spod kadłuba nadal oddalającego się Waspa. Piekło przemiany termojądrowej ukryte w baterii właśnie wydostało się na zewnątrz. Przestrzeń przed dryfującym Roeniem rozbłysła potężną i bezgłośnie eksplozją, której fala pchnęła kapsułę wraz z pilotem w stronę powierzchni planety znacznie zmniejszając jej prędkość. Przez przyciemnioną fotochromową szybę osłony kokpitu kapitan dostrzegł maszynę Ganetta otwierającą ogień w stronę windy orbitalnej i rozbłyskujące salwy lufowej artylerii, gęsto rozmieszczonej wokół centralnego modułu toroidu. Przez moment wydawało się, że młody pilot wiedziony szczęśliwą ręką przedrze się przez zaporę tnących próżnię odłamków, ale nagle jeden z pocisków eksplodował tuż przed osłoną kokpitu, szatkując ją setkami odłamków. Wasp bez sterowania samoczynnie wyrównał lot i niemal natychmiast otrzymał trzy bezpośrednie trafienia rozrywające myśliwiec na kilka części, które przemknęły w pobliżu jednej ze ścian toroidu, nie czyniąc nikomu krzywdy. Roen z pewną obojętnością spoglądał na ogromny kształt kolonii, widoczną teraz doskonale nad

## Incydent...

---

nim, gdy już nie mógł niczym zagrozić. Lina windy orbitalnej, choć należałoby raczej powiedzieć „taśma”, nikła gdzieś w dole dotykając już z pewnością zewnętrznej warstwy atmosfery. Widział ją dokładnie, przemykając bezsilnie o niecałe dziesięć kilometrów od mieniającego się w świetle gwiazdy stalowoszarego węża. Toroid został z tyłu i wtedy kokpit otrzymał pojedyncze trafienie zabłąkanym podpociskiem, który przeszył wzdłuż całą kapsułę i siedzącego w niej pilota. Roen poczuł ostre szarpnięcie i ze zdumieniem spojrział w dół, gdzie pojawiła się plama krwi na wysokości jamy brzusznej. W ustach poczuł metaliczny smak krwi i nim zdążył ją połknąć, uwolniła się od spoconych warg i zaczęła szybować przed oczami pilota w postaci niewielkich okrągłych kropli, rozpryskując się na osłonie. Cybernetyczny system hormonalny natychmiast podał środki przeciwbólowe i zwiększające krzepliwość. Szum powietrza uciekającego przez wybity otwór ustał po chwili gdy aerożelowe wkłady samoczynnie zasklepiły przebicia. Komputer, oszczędzając energię stopniowo wygasił wszystkie przyrządy pozostawiając jedynie systemy odpowiedzialne za nawigację. Słabnący z każdą chwilą pilot mógł tylko obserwować jak automat ustawia kapsułę dolną częścią w kierunku lotu, by przygotować się do wejścia w atmosferę. Zwiększająca się dawka środków znieczulających oszołomiła Roena. Otępiałym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń przed sobą i pojawiające się pojedyncze smugi atmosfery. Kapsuła zaczęła drżeć, zagłębiając się w atmosferę a w kabinie miejsce ciszey zajęło narastające dudnienie. Z beztroskim zdziwieniem obserwował powiększające się pęknięcie osłony tytanowego kokonu ale wzrastające ciężenie, pomimo końskiej dawki środków przeciwbólowych spowodowało ból w ranie i ponowne krwawienie. Dolna część kapsuły rozgrzała się do ponad czterech tysięcy stopni, tworząc



## Incydent...

---

skondensowaną poduszkę plazmy. Tworzyła się ona ze sprężanej gwałtownie atmosfery. Boki i uszkodzoną osłonę kokpitu zaczęły lizać płomienie wydostające się z obu stron kapsuły, wchodząc znacznie gwałtowniej w atmosferę niż to było zazwyczaj praktykowane. Gwałtowny wzrost przeciążeń litościwie pozbawił pilota przytomności. Ogień otaczający kabinę począł powoli gasnąć, gdy kapsuła zwolniła już znacznie poniżej trzech Machów. W zimnej i suchej atmosferze jak grzmot zabrzmiały rakietowe silniki hamujące, spowalniając lot kapsuły, umożliwiając rozwinięcie pierwszego spadochronu. Dwie minuty później okrągła czasza odpadła, odrzucona przez automat i majestatycznie rozwinęło się skrzydło paralotni umożliwiające sterowanie opadaniem. Roena obudziło lekkie kołysanie i ocieężałe otworzył oczy, spoglądając na rzadkie obłoki poza krawędzią skrzydła paralotni wiszącej nad głową. Cały bok osłony kokpitu popękany koncentrycznie od miejsca trafienia, był osmalony, ale nawet poprzez ciemne smugi osadu pozostałe po wejściu do atmosfery można było dostrzec wysoki, ośnieżony szczyt. Komputer uznał go widocznie za punkt nawigacyjny i krążył wokół, czekając na lądowanie lub ocknięcie się pasażera. Kapitan z wysiłkiem przesunął dłoń, ni stąd ni zowąd ciężką niczym kula ziemską, opierając palce na sterowaniu kłapami skrzydła. Wnętrze kokpitu wyglądało na wymarłe, elektroniczny mózg, w miarę utraty energii ograniczał maksymalnie jej zużycie. Pozostały tylko mechaniczne, awaryjne przyrządy. Z tej odległości widział termometr mierzący zewnętrzną temperaturę, wskazujący ponad czterdzieści stopni mrozu. Odurzony lekarstwami począł rozmyślać nad przejściem przez atmosferę, nie wiedząc jak zakwalifikować to zdarzenie. Czy jako szczęście, że jeszcze oddychał, czy jako pecha, gdyż czekało go zamarznięcie na lodowej pustyni. Nie

## Incydent...

---

miał złudzeń co do swoich szans. Ciężko ranny – nie mógł poruszyć nogami i obawiał się, sądząc po ilości środków chemicznych wtłoczonych w jego żyły, że uszkodzony został kręgosłup, w kapsule z awaryjnym zasilaniem i popękana osłona, nie miał żadnych szans na przeżycie. Miło było jednak usłyszeć szum powietrza i zobaczyć jeszcze raz powierzchnię planety, nawet takiej jak Rigil Prime. Otworzył klapy skrzydła parolotni z uśmiechem na ustach pokrytych zakrzepłą krwią. Skoro czekał go koniec, niech się to odbędzie po najlepszym na świecie szybowaniu w atmosferze innej planety. Na zakończenie kariery pobije rekord w locie na odległość, nawet jeśli tego nikt nie zobaczy. Kapsuła zwolniła opadanie, nabierając prędkości w poziomie, przecinając ze świstem zimne powietrze. Na szczęście dla kapitana, dzień był słoneczny a stosunkowo wysoka temperatura zagęściła atmosferę na tyle by można było szybować wykorzystując prądy wznoszące, zwłaszcza po tym jak skierował skrzydło na południe. Niemniej jednak opadał powoli przyciągany przez bezlitosną grawitację, która choć mniejsza od ziemskiej, nie pozwoliła o sobie zapomnieć. Osmolona, poczerniała kapsuła wisząca pod szerokim białym skrzydłem przedziwnie wyglądała na tle białego, wiecznego śniegu i szarych smug lodu. Leciła coraz niżej, przemykając umiejętnie pomiędzy lodowymi wzgórzami. Bijący od nich blask coraz bardziej przeszkadzał w pilotażu, ale częściowo uszkodzona osłona nie była w stanie reagować już na zmiany w sile światła. Gdy pod kapsułą pozostało już niespełna dwieście metrów wysokości, komputer zakomunikował minimalny zapas energii i wyłączył się, pozostawiając półgodzinny zapas dla silników sterujących linami skrzydła. Kapitan natychmiast wprowadził kapsułę w opadanie i z westchnieniem zamknął klapy. Skrzydło łagodnie wyrównało lot tuż nad gładką powierzchnią po-

## Incydent...

---

krytą chropowatym lodem. Roen nie wiedział skąd pojawiło się to niewielkie wzgórze na trasie lotu. Idealnie białe, nie było widoczne na tle pola lodowego. Zauważył je zbyt późno, by móc się wznieść, zdołał odchylić nieco tor lotu, by nie zderzyć się z nią czołowo. Gdy kapsuła zetknęła się bokiem z lodem pokrywającym wzgórze, wewnątrz rozległ się zgrzytliwy dźwięk dartej metalu a sam kokpit z przyprawiającym o mdłości obrotem gruchnął prosto w lód i koziółkując kilkakrotnie zaplątał się w skrzydło. Wreszcie znieruchomiał na wypalanej przez lądowanie podstawie z resztkami poszarpanego skrzydła, które okryło popękana osłonę niczym całun. Lot kapitana Wiliama Roena zakończył się....

## PORZUCENI

Dudniący szum wiatru wdzierał się przez cienkie ściany z tworzywa sztucznego, wzmocnionego aerożelowymi wkładami, pomimo sporej warstwy śniegu okrywającej długi kontener mieszkalny. Ośmiometrowej długości pomieszczenie wypełniały trzypiętrowe łóżka umieszczone po obu stronach wzdłuż ścian. Jedyłą prywatność zapewniały elastyczne przesłony umożliwiające całkowite odcięcie się od otoczenia, wyciszając skromną, klaustrofobiczną przestrzeń należącą do jej mieszkańca. Osiem z nich pozostawało zasłoniętych a w całym pomieszczeniu panowała cisza zakłócana jedynie delikatnym szumem systemu wymiany powietrza. Termometr umieszczony w jednej ze ścian wskazywał na dwanaście stopni Celsjusza powyżej zera temperatury regulowanej przez centralny system środowiskowy. Do pierwszego

## Incydent...

---

pomieszczenia wiodły drzwi przesuwane lekkimi siłownikami hydraulicznymi, w tej chwili zamkniętymi i wygłuszającymi całkowicie dźwięk. Gdy z cichym sykiem uchylły się, w powstałym otworze ukazała się krępa postać Armstronga Lewisa. Z pomieszczenia widocznego za nim popłynął cichy szum urządzeń elektronicznych. Ten fragment kontenera różnił się diametralnie od części sypialnej. Powierzchnię ścian i sufitu zagospodarowano całkowicie, wypełniając je różnorodną maszynerią, dziesiątkami przewodów i przełączników, niczym w łodzi podwodnej. Bez wątpienia to pomieszczenie stanowiło serce całego kontenera, umożliwiające egzystencję niewielkiej załodze. Chief przekroczył próg i ze spokojem nacisnął główny przełącznik osłon, czym spowodował ich rozsuniecie. Słabe światło wtargnęło do ciemnych dotąd wewnątrz namiastek kajut. Armstrong milczeniem zbył ciche jęki protestu i co było dla niego niemałym osiągnięciem, cierpliwie czekał aż osiem osób dziennej zmiany zwlecze się z ciepłych łóżek. Wszyscy, trójka kobiet i piątka mężczyzn, ubrani w jednolite, krótkie kombinezony z oddychającej tkaniny, wyglądali jednakowo nieszczęśliwie za każdym razem gdy chief zrywał ich po ośmiu godzinach snu. Lewis był zwolennikiem pracy, ciężkiej pracy i jeszcze cięższej pracy i fakt, że musieli czekać na ratunek następne osiem lat nie zwalniał według niego od zagospodarowania otoczenia na miarę ich skromnych możliwości. Zdolności organizacyjne chiefa były na tyle duże, by nikt z jego zespołu nie był w stanie sformułować jakiegokolwiek formy sprzeciwu. Członkowie zespołu pracowali albo spali, bez wolnego czasu, który mógłby zostać spożytkowany na „głupoty”. Chief obserwując w milczeniu spokojnie przebiegających się ludzi ocenił, że rozbudzili się już na tyle, by móc słuchać i zaczął z werwą w głosie.

## Incydent...

---

- Dziś mamy bardzo dobry dzień panie i panowie - ten i ów spojrzeli spode łba na dowódcę, który według niektórych musiał być w rzeczywistości cyborgiem, prototypem nowego kolonisty mającego usunąć żywych poprzez fizyczne unicestwienie, ale nikt się nie odezwał. Teraz miał pewność, że rejestrują każde jego słowo.

- Dwójka „operacyjnych” przy skanerach sporządzi mapę „gorących” punktów - Armstrong miał na myśli echa radarowe, pojawiające się czasami na granicy zasięgu czyli około dwustu kilometrów od ich aktualnej pozycji, zwłaszcza od strony pasa zieleni. Akurat w tym wypadku nikt nie narzekał na monotony obowiązek przeszukiwania wszystkich pasm radiowych i zaznaczania podejrzanych anomalii. Tak naprawdę od tego zależało „być albo nie być” niewielkiej kolonii.

- Andree, Johan, Ann i Lee, przygotujecie ekwipunek do trzydniowej wyprawy na północ, musimy założyć zapasowe schronienie. Zezwalam na zużycie ośmiu metrów nanorurkowej tkaniny. - Wywołani ponuro spojrzeli po sobie, co nie uszło uwadze Armstronga. Z ogoloną czaszką, niemal dwumetrowej postury Johan wydawał się najbardziej niezadowolony i pozwolił sobie na zademonstrowanie swego nastroju poprzez ciche ale dobitne skłębienie pomysłu dowódcy, gdy szarpnięciami potężnych ramion wciągał spodnie od skafandra na muskularne ciało. Chief nie tolerował takiego zachowania w zespole mechaników w Price Town a tym bardziej tutaj, gdzie każdy drobiazg mógł urosnąć do rangi nierozwiązywalnego problemu. Lewis eliminował takie punkty zapalne, zanim zdążyły zapłonąć. Teraz niedbałym krokiem podszedł do piętrowego łóżka i oparł się ramieniem tuż obok wściekłego trzydziestolatka i zadziwiająco słodkim głosem zapytał.

## Incydent...

---

- Chyba coś ci się nie spodobało w przydziale dzisiejszego dnia? - Spoglądał gdzieś w przestrzeń, zdawał się być, nieobecny duchem.

- Do cholery Lewis, mieliśmy walczyć o przetrwanie, nie realizować twoje coraz bardziej absurdalne pomysły - olbrzym mylnie wziął pozorny brak zainteresowania za obawę przed starciem. Wstał prostując swą potężną posturę i pochylił się chcąc spojrzeć chiefowi w oczy. Jego naga czaszka połyskiwała w świetle dobiegającym równomiernie ze wszystkich paneli sufitowych.

- My też jesteśmy ludźmi, ukrywamy się to chcemy te kilka cholernych godzin dla siebie dziennie - podniósł ton głosu, rozglądając się wokół w poszukiwaniu sojuszników. Nikt jednak nie stanął obok, chociaż wiedział, że myślą podobnie. I wtedy natknął się na wzrok Armstronga Lewisa, stalowoszary, tnący niczym plazmowy palnik, bezlitosny. Ostatnie słowa Johan wypowiedział półgłosem, tracąc całą pewność siebie, mimo tego, że górował nad chiefem przynajmniej o głowę. Lewis bez jednego mrugnięcia wpatrywał się w swego adwersarza nic nie mówiąc. Zapadła długa, wymowna cisza, którą przerwał dopiero suchy, bezwzględny głos dowódcy, cały czas mierzący wzrokiem Johana.

- Ty jesteś człowiekiem? - Jadowicie warknął chief jak gdyby powątpiewając w prawdziwość tego stwierdzenia i kiwnął ledwie wyczuwalnie głową, jak gdyby sam ze sobą prowadził konwersację.

- I potrzebujesz wolnego czasu, w jakim celu? - Powtórzył słowa osiłka, cedząc je przez zęby a wzrok Johana na moment opadł w dół i tam pozostał. Olbrzym zastraszonej wzbudzoną lawiną naraz zainteresował się sprzączkami swych butów używanymi do zakładania dodatkowych osłon na nogi.

## Incydent...

---

- Zabawiać się sam ze sobą? Patrzeć w sufit, bo z książką to ciebie chłoptasiu nie widziałem – chief dopiero zaczynał się rozkręcać. Przez pięć minut mówił Johanowi jak mógłby spędzić te wykrzyczane wolne godziny. Armstrong świadomie szedł ku granicy wytrzymałości psychicznej trzydziestolatka, budząc niepokój pozostałych, aż wreszcie olbrzym nie wytrzymał i ruszył z rykiem do-  
bywającym się z szerokiej piersi na cedzącego nienawistne słowa chiefa. Wydawało się, że nie ma ucieczki przed dwoma sękatymi ramionami, zbliżającymi się ku krępemu, ale znacznie niższemu Lewisowi. Za chwilę, za moment jego kości trzasną jak zapałki pod uderzeniami rozwścieczonego Johana. Siedząca najbliżej, smukła i niska, piegowata dziewczyna o ognistej, rudej fryzurze zamrugła zaskoczona rozwojem sytuacji. Po błyskawicznym, pojedynczym chwycie chiefa rozpędzony Johan przetoczył się po przechylonym ciełe Armstronga i gruchnął całym ciężarem studwudziestokilowego cielska na wąski korytarz między łózkami. Jedna ze stóp zahaczyła o odsuniętą osłonę wyszarpując plastik z przewodnic wśród ogłuszającego trzasku. Nim oszołomiony olbrzym zdążył cokolwiek zrobić, Lewis z prędkością o którą nikt nie byłby w stanie go posądzić doskoczył do niego i błyskawicznym ruchem zblokował szerokie ramiona przeciwnika, naciskając jednocześnie łokciem tętnicę szyjną. Johan przez chwilę próbował wstać, ale chief z premedytacją coraz silniej przyciskał pulsujące, czułe miejsce na szyi, mówiąc po chwili opanowanym, zimnym głosem.

- Przez twoją głupotę tracimy czas, a jak pamiętasz jesteśmy w stanie wojny – Johan zamknął oczy, tracąc przytomność. Dopiero wtedy chief powstał z kolan dostrzegając w drzwiach atletyczna sylwetkę Grahama Wilsona, gotowego ruszyć dowódcy z pomocą. Armstrong z



## Incydent...

---

uśmiechem się wyprostował i pokiwał przecząco głową wyjaśniając pytanie czające się w oczach Wilsona.

- Wiecie, że w czasie wojny dowódca ma prawo ukarać podwładnego śmiercią w wypadku nieposłuszeństwa.

- Usiadł na krawędzi łóżka, cały czas kątem oka obserwując bezwładnie leżącego przeciwnika.

- Ale nasz kochany Johan jest po prostu głupi, a jego mięśnie mogą nam się przydać, zwłaszcza gdy napotkamy Chińczyków. - Świadkowie starcia spoglądali to na mówiącego, to na nieprzytomnego olbrzyma. To co zaszło w przeciągu kilkunastu sekund w przedziale mieszkalnym było wręcz nieprawdopodobne a sposób w jaki chief poradził sobie z zezłoszczonym napastnikiem ostrzegwał przed pójściem w ślady Johana.

- Wbrew temu co mówił mój adwersarz, nie realizujemy moich, jak to się wyraził „absurdalnych” pomysłów

- Armstrong wykrzywił twarz w sarkastycznym uśmiechu

- prowadzimy planową rozbudowę systemu schronień na obszarze całego sektora. Otrzymałem zadanie utrzymania was przy życiu i nie uczynię tego przy pomocy jednego kontenera mieszkalnego. - Chief dostrzegł ruch na podłodze i natychmiast oparł dłoń na głowie zamroczonego Johana.

- Leż synu - odparł sucho a trzydziestolatek posłusznie położył głowę na podłodze usiłując skupić wzrok. Armstrong, jak gdyby nic się nie stało, ciągnął dalej.

- Nie przeżyjemy rzucając się sobie do oczu - spoglądał kolejno na zebranych i powtórzył, aby te słowa dobrze zapadły im w umysły.

- Nie przeżyjemy siedząc i użalając się nad swoim losem - wstał i bez uśmiechu warknął.

- Starczy tego wciągania mnie w pogaduszki. Zamiast Johana, do zespołu dołączy Greg. Ja wraz z Alice i naszym zbuntowanym chłopcem wykonam daleki patrol. - Człon-

## Incydent...

---

kowie załogi zaskoczeni popatrzyli na siebie a potem jak jeden mąż, wszystkie oczy zwróciły się na dowódcę. Do tej pory Armstrong pilnował jak cerber, by nie opuszczali najbliższego otoczenia ich skromnej siedziby. Jedyne wyprawy, ukradkiem i w ciemnościach dotyczyły budowy sieci niewielkich lodowych schronień tworzących łańcuch otaczający centralny punkt, który tworzyła zaimprovizowana kolonia.

- Nie bądźcie tacy zaskoczeni - tym razem uśmiech Lewisa nie nosił znamion charakterystycznego dla niego sarkazmu - musimy się w końcu dowiedzieć na czym stoimy. - Spojrzał na ociężałe podnoszącego się Johana i poklepał go całkiem przyjaźnie po plecach.

- Jak się czujesz synu? - Olbrzym wzruszył ramionami, starając się nie patrzeć na Armstronga.

- Bola mnie plecy i głowa- wymamrotał trzymając się za łusą czaszkę.

- Masz dużo energii, więc długa wędrówka na pewno ci się przyda - Lewis stanął w drzwiach obok Grahama. Rozgrywające się przed chwilą wydarzenia można byłoby uznać za niebyłe, gdyby nie zerwana osłona łóżka, wisząca niczym skrzydło zranionego ptaka. Chief pokiwał głową dopiero teraz dostrzegając szkodę.

- Oczywiście naprawisz dziewczynie ściankę przed naszym wyjściem - Johan pokiwał głową, mamrocząc pod nosem.

- Na rozkaz chiefa - schował się wśród ubranych już w lekkie skafandry członków załogi. Armstrong wraz ze swym zastępcą odprowadzani wzrokiem rozbudzonych członków załogi przeszli do drugiego pomieszczenia, witali zaniepokojonymi spojrzeniami pozostałej szóstki. Słyszeli podniesiony głos i trzask plastików a w niewielkiej przestrzeni głos rozchodził się wyraźnie. Z oczywistych względów nie widzieli całego zdarzenia, tylko reak-

## Incydent...

---

cję Wilsona, który na odgłos łamanego tworzywa wystartował niczym sprinter ze swego miejsca przy konsoli skanerów pasywnych dalekiego zasięgu.

- Kończymy wachtę - jednym poleceniem skierowanym do znajdujących się wokół ludzi Armstrong uciął próby pytań, czy rozmowy na temat zdarzeń w kabine sypialnej. W pomieszczeniu zaczęli pojawiać się wypoczęci i całkowicie rozbudzeni uczestnicy następnej zmiany. Rutynowo, sprawnie przejęli obowiązki swych poprzedników. Lewis stał przy konsoletach, kątem oka obserwując przekazywanie zmiany, by zareagować na ewentualne następne ognisko zapalne, ale nic takiego się nie stało. Skupiając się na tym, dopiero po chwili zorientował się, że Graham coś do niego mówi.

- Wybacz, ale nie dosłyszałem - zwrócił swą uwagę na zastępcę, spoglądając nań z całkowitym spokojem.

- Mówiłem, że to nie jest dobry pomysł brać ze sobą tego osiłka. Licho wie, co w tej głowie siedzi. - Chief znał Wilsona bardzo dobrze i wiedział, że ten zawsze woli dmuchać na zimne, zabezpieczać się na wszystkie możliwe sposoby i tworzyć zapasowe wyjścia. Dlatego wybrał go na zastępcę.

- Dziś dostał nauczkę - Armstrong mówił półgłosem, patrząc jak skruszony buntownik przemyka obok nich, by stanąć przy szerokich szafach kryjących zewnętrzne skafandry podróżne. Obserwował jak wyciąga szeroką, masywną kurtę mieniącą się wszystkimi odcieniami szarości i bieli, dodając weselszym tonem.

- Przebieżka dobrze mu robi na ten durny, pusty łeb. Idziemy na południe, liczę się z ewentualnym spotkaniem a wtedy nasz Johan będzie mógł zobaczyć na co go stać. - Odwrócił się ponownie do Grahama a w oczach dowódcy zabłysły ogniki humoru.

## Incydent...

---

- No i nie zdiadziałem na tyle, by nie rozłożyć takiego byczka - Wilson uniósł w zdziwieniu brwi, słysząc jak Armstrong zachichotał. Nie miał omamów, człowiek o stałowej twarzy zachichotał w jego obecności!. Nim się otrząsnął z zaskoczenia, chief już był między ludźmi dodając im animuszu, rozdając hojnie wokół słowne razy. Jego niespożyta energia zamieniła milczący zespół w rozgadana grupkę osób, którzy zatarli w sobie wspomnienie porannej potyczki, niepokojącej i bolącej niczym cierń w nodze. Graham skrzyżował ręce przed sobą, w zadumie obserwując trójkę śmiałków. Ubierali się w twarde kombinезony wytrzymujące najniższe temperatury występujące na tej szerokości geograficznej, a zanotowali tu już minus osiemdziesiąt pięć stopni. Widział jak stojący przy drzwiach śluzы Johan potężnymi palcami delikatnie sprawdzał funkcjonowanie maski tlenowej i zadowolony z oględzin umieścił ją w specjalnym, bocznym uchwycie szerokiego kaptura kryjącego głowę i zabezpieczającego przed zawieją. Nawet przez chwilę nie spojrzął na zastępcę dowódcy, bezczelnie wpatrującego się w niedoszęgo buntownika, jakby chciał przeniknąć jego myśli. Dopiero słysząc głos dowódcy, Wilson odwrócił wzrok.

- Do mojego powrotu, komendę przejmuje Graham Wilson. Zadania znacie, do zobaczenia, najpóźniej za czterdzieści osiem godzin - krótko i dobitnie poinformował zebranych chief, trzymając w prawej dłoni doskonale przystosowany do niskich temperatur karabin wyborowy pokryty białą farbą tłumiącą ciepło. Długi celownik optyczny osłaniał gruby ochraniacz z miękkiej tkaniny, zabezpieczający przed przypadkowymi uszkodzeniami. Lewis krótko uściśnął dłoń zastępcy i wraz z rudą Alice i Johanem stanęli w wąskich drzwiach prowadzących do śluzы wyjściowej. Uchyliły się one na moment, wpuszczając do wnętrza strumień lodowatego powietrza, które owiało

## Incydent...

---

zebranych i spowodowało natychmiastowy wzrost wydajności bocznych płyt grzewczych. Nie tracąc czasu, przekroczyli dość wysoki próg i znaleźli się w niewielkiej liczącej może trzy metry kwadratowe wąskiej klitce. Na ścianach lśnił lód, regularnie usuwany przez każdą zmianę. Dwa niewielkie iluminatory w szczytowej ścianie przykrywał szron skrzący się w sztucznym świetle dobiegającym z sufitowej płyty. Odpowiadało dokładnie natężeniu światła na zewnątrz a przy grubym włazie dzielącym ich od atmosfery Rigil Prime widniały mechaniczne wskaźniki temperatury i ciśnienia. Teraz rejestrowały minus siedemdziesiąt dwa stopnie i niespełna pięćset hektopaskali. Armstrong bez słowa pokiwał głową, zapinając maskę osłaniającą twarz.

Jednym dotknięciem palca uruchomił automatyczne dozowanie tlenu. Johan naciśnięciem hydraulicznej dźwigni przesunął skoble blokujące drzwi, które odsunęły się z metalicznym jękiem. Pchnął ciężki właz i otworzył go. Ze śluzy błyskawicznie uszło ciepłe powietrze i do środka wdarła się lodowata, rzadka atmosfera, osadzając natychmiast szron na białych skafandrach całej trójki. Nie zwlekając, opuścili wąską kiszkę śluzy i podążyli niewiele szerszym tunelem wyciętym w wiecznym śniegu. Drzwi śluzy zamknęły się powoli za nimi z cichym szczerknięciem mechanizmów. Wąski początkowo korytarz rozszerzał się w niską ale szeroką kawernę, podpartą kilkoma słupami wykonanymi z lodu opasanego taśmami nanorurek. Kroki butów o grubych podeszwach tłumił śnieg, wokół panowała cisza, niezakłócona ani jednym słowem, gdy szli wzdłuż lodowych kolumn, mijając największy środek transportu posiadany przez zespół Armstronga, gąsienicowy wszędołaz Ford D-40H wykonany w ośmiu egzemplarzach specjalnie dla wyprawy na Rigil Prime. Teraz maszyna stała niczym martwy mastodont, pokryty

## Incydent...

---

zmrożonym śniegiem, z szybami przesłoniętymi od zewnątrz i wewnątrz warstwą lodu. Stał tu, odkąd koloniści dotarli do tego miejsca i aby go teraz uruchomić, trzeba by kilku dobrych godzin i wielu kilowatów energii. Nie zatrzymując się skierowali się dalej, ku dwóm znacznie mniejszym ślizgaczom, napędzanym wielołopatowym śmigłem. Ich największą zaletą było niewiele śladów, jakie za sobą zostawiały. Je również pokrywała warstwa szronu, który w tej temperaturze zamieniał się w twarde jak skała kryształki lodu. Stanęli przy pierwszej maszynie i z wprawą rozpoczęli procedurę rozruchową, pracując szybko, ze znajomością tematu. Rozmowy ograniczali do minimum, przy tym mrozie, nawet w maskach, czuć było boleśnie w płucach każde słowo. Mimo to, w ciągu niespełna trzydziestu pięciu minut uruchomili pojazd i popchnęli go do wyjścia, wyciętego w jednym bloku lodu niemal na wprost wysokiego lodowego wzgórza. Po obu stronach widniały lodowe języki, osłaniając z obu stron przed wiatrem i obserwacją, nawet z bliska. Cała trójka wsiadła do niewielkiego pojazdu a niewielka Alice, siedząc na fotelu kierowcy nacisnęła obły przycisk startera. Śmigło umieszczone w tyle pojazdu i osłonięte siatką poczęło nabierać rozpędu, zmieniając swój skok i tworząc ciąg, który pchnął ślizgacz do przodu. Dopiero teraz można było usłyszeć szum silnika, gdy pojazd wyjechał z za lodowego języka, jadąc z niewielką prędkością naprzód, wprost w bezkresną lodową pustynię upstrzoną wzgórzami lodowymi i pęknięciami w wiecznej pokrywie lodowej. Pomarańczowe światło Alfa Centauri B kładło długie cienie, tworząc niepowtarzalne miraży na kryształkach zamarznętej od setek tysięcy lat wody, wisząc nisko nad horyzontem. Armstrong z zadowoleniem zarejestrował fakt braku na niebie odległej o ponad osiemdziesiąt jednostek astronomicznych Alfa Centauri A. Brak odle-

## Incydent...

---

głego towarzysza gwiazdy centralnej świadczył o wczesnej porze, sprzyjającej spokojnemu oddaleniu się od miejsca schronienia. Chief zerknął na niewielki, elastyczny ekran umieszczony w bocznej ścianie szerokiego kaptaża, na którym komputer nawigacyjny skafandra wyświetlał na bieżąco przebytą drogę, podobnie jak u pozostających. Wiejący mocno wiatr tworzył niskie smugi składające się z ostrych i twardych kryształków lodu, bezustannie szlifujących powłoki skafandrów i ślizgacza. Na całe szczęście od dawna nie padał świeży śnieg, dzięki czemu wicher nie niósł ze sobą ton śniegu, mogących zasypać trójkę podróżnych w mgnieniu oka. Ślizgacz rozpedził się do niemal czterdziestu kilometrów na godzinę i w tych warunkach było to już balansowaniem na krawędzi bezpieczeństwa. Podmuchy miały niewielkim pojazdem na boki pomimo obciążenia i Alice musiała cały czas mocno pracować sterami by przemykać między wzniesieniami i nie dać się zepchnąć na któreś ze zlodowaciałych zboczy. W ciągu niecałych trzech godzin zdołali przebyć niemal sto kilometrów, wystarczająco dużo by zbliżyć się na odległość wzroku od pasa zieleni. Armstrong nie schodząc z fotela w zadumie obserwował swych towarzyszy, którzy zalegli wśród kilku niskich, karłowatych krzaków wybijających się poprzez lodową pokrywę. Zbliżała się rigilska odmiana zimy, toteż krzewy pozbawione były ciemnych liści i nie dawały wiele schronienia. Chief był pewny, że zarówno Johan jak i Alice po kilku tygodniach pobytu w całkowicie sztucznym środowisku potrzebowali dotyku żywej rośliny. Czegoś co nie powstało w fabryce. Uśmiechnął się pod nosem bacząc, by żadne z nich tego nie zauważyło. Wstał ociężale z fotela przeciągając się i sięgnął po broń, do tej pory bezpiecznie umocowaną w stojaku na tyle pojazdu. Postąpił krok stając na zmrożonej powierzchni lodu przemieszanej z ziemią i lodem,



## Incydent...

---

ostrożnie ściągając pokrowiec z lunety, rzucając go na swój pusty fotel. Spokojnie przyłożył broń do ramienia, kierując się wprost na południe i spojrział w optyczny system celowniczy. Prawym kciukiem włączył maksymalne powiększenie obrazu omiatając całą południową część horyzontu. Opuścił broń z cichym westchnieniem gdy nagle cała trójka usłyszała charakterystyczny szum łopat śmigłowca. Chief błyskawicznie wylądował pośród karłowatej roślinności. Warknął krótko.

- Włączyć kamuflaż - sam uruchomił system z minimalnym opóźnieniem, nie mogąc szybko dotknąć przycisków elastycznej klawiatury widocznej na prawym przedramieniu. Skafandry całej trójki natychmiast lekko poszarzały przyjmując aktualny kolor otoczenia. Gdy leżeli płasko, nawet z niewielkiej odległości można by wziąć całą trójkę za niezbyt wysokie, lodowe pagórki. Chief spokojnym ruchem założył osłonę antyrefleksyjną na okular karabinu i rozejrzał się nie wykonując szybkich czy gwałtownych ruchów. Dopiero po dłuższej chwili w oddali dostrzegł ciemny punkt przemieszczający się powoli na tle jasnych wzgórz pokrytych śniegiem. Spojrział przez celownik optyczny i wpatrywał się przez dłuższą chwilę, bezwiednie wykrzywiając usta w grymasie gniewu. Dzięki dwunastokrotnemu przybliżeniu zdołał rozpoznać ten nienawistny kształt. Kanciaste osłony rotorów, wąskie i krótkie skrzydła i głęboko osadzony kokpit pilota. Z tej odległości nie zdołaliby rozpoznać oznaczeń, ale i bez tego doskonale znał ten typ maszyny, oznaczany w federacji jako „Gable” a przez Chińczyków H-82 Nanang. Potężnie uzbrojony, wyposażony w szerokozakresowe skanery był śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem, przeciwko któremu nie mieli żadnych szans.

- Kto to szefie? - Półgłosem zapytał Johan, starając się nie poruszać, wtopić w otoczenie.

## Incydent...

---

- Kosmici - prychnął chief, nadal obserwując lecącą maszynę przeciwnika - jak myślisz chłopcze? Oczywiście, że nasi żółci towarzysze. Widocznie wydedukowali, że dwadzieścia osób to grubo za mało jak na kolonię kalibru „Price Town”. - Odległe dudnienie silnika poczęło cichnąć i Johan nabrał animuszu. Chciał się podnieść, gdy silna dłoń dowódcy powstrzymała go.

- Ty dokąd?! Leż chłopie - Armstrong obrócił się bokiem do towarzysza i położył się na śniegu.

- Wylądowali a na pokładzie przewożą przynajmniej dziesięciu żołdaków. Myślę, że przeczesują teren. - Mru-gnął uspokajająco do przerażonej dziewczyny, wpatrującej się załzawionymi z zimna oczyma w stronę skąd mogło nadejść niebezpieczeństwo. Poprzez rzadkie krzaki i wznoszące się niemal bezpośrednio przed nimi wzgórza nie mieli szans dostrzec wrogiego śmigłowca, pozostało im jedynie wsłuchiwać się w dobiegające z oddali odgłosy. Jak na złość ponownie zerwał się wiatr i powoli przybierał na sile, zrywając z zlodowaciałej powierzchni drobiny śniegu, odłamki gałęzi i drzew. Chief z niepokojem obserwował spadającą w oczach temperaturę na wskaźniku w kapturze. Mimo doskonałej izolacji cieplnej, zaczął odczuwać chłód a chińska maszyna wciąż stała na ziemi. Licho wie, ile im przyjdzie jeszcze leżeć..., odwrócił głowę by spojrzeć na północ i serce skoczyło mu do gardła, gdy zorientował się, że horyzont i kilkanaście dalszych wzgórz znikło za szarawą ścianą idącą w ich kierunku. Już wiedział, czemu Chińczycy wylądowali. Nawet opancerzony śmigłowiec szturmowy mógł nie wytrzymać starcia z burzą lodową, największym zagrożeniem pogodowym na obszarze całej planety. Zacisnął szczękę i rozluźnił ją po chwili, starając się spokojnie myśleć. Uniósł się na łokciach i rozejrzał w poszukiwaniu schronienia. Niezbyt daleko od ich pozycji dostrzegł spore zagłębienie

## Incydent...

---

i nic poza tym. Lodowe wzgórza i kilka skupisk krzewów i ich łamanych właśnie coraz silniejszym wiatrem gałęzi. Nie było czasu do stracenia. Chief wstał i kopnął Johana w kostkę a gdy ten spojrział zdziwiony, rzucił głośno starając się przekrzywić rosnące dudnienie wiatru.

- Musimy przetoczyć ślizgacz do tamtego zagłębienia... - nim zdążył dokończyć, Johan dostrzegł nadchodzącą ścianę lodu niesionego huraganowym wiatrem.

- Boże - wrzasnął naraz spanikowany olbrzym - umrę tu na tym zakichanym kawałku lodu, zamarznię na kość przez tę zasrana burzę - nie słuchał słów chiefa, który coś do niego mówił, biadoląc na cały głos. Dopiero solidny kopniak w bok, wymierzony przez dowódcę zatrzymał potok jego wypowiedzi.

- Zamknij się - warknął Armstrong i wskazał na ślizgacz - za trzy minuty odwrócimy go do góry nogami i obłożymy go nanorurkową siatką. Jak się nie weźmiesz w garść, nie zdążysz zamarznąć, bo wyrwę ci serce. Rusz dupę!!! - Ostatnie słowa mimo narastającej wciąż wichury, Johan usłyszał doskonale. Dziewczyna stojąca obok, choć pobladała widząc nadchodzącą burzę, pokręciła z powątpiewaniem głową.

- Co? - Zapytał zdziwiony olbrzym pchając ślizgacz w stronę zagłębienia. Ruda czupryna Alice niesfornie wydobywająca się spod kaptura zatrzęsała się gdy dziewczyna zachichotała pomagając obu mężczyznom pchać maszynę.

- Jak sobie pomyślę, że chciałeś wymusić na chiefe jakieś zmiany... - dźwignęli niezbyt ciężką konstrukcję w górę i z jękiem giętych blach osłon obrócili go do góry nogami, tworząc pod spodem niewielkie, zadaszone schronienie. Czas był po temu najwyższy, bowiem za kotłującą się lodową ścianą znikło już najbliższe pasmo pagórków. Ślizgacz przykryła lekka, niezwykle wytrzymała siatka

## Incydent...

---

wykonana z nanorurek węglowych, na których natychmiast osadzały się pędzące przed główną falą płatki śniegu.

- Żadne z nas nie spędziło nigdy burzy poza bazą - wymamrotał na swe usprawiedliwienie Johan opierając swe potężne plecy o osłonę śmigła. Wysunął dodatkową osłonę kaptura by zabezpieczyć się przed uderzeniem lodowych igieł. Ich szum był już doskonale słyszalny w oddali, zbliżając się niczym nadlatujący odrzutowiec.

- Uwaga - mruknął chief, obracając się tyłem, spoglądając ostatni raz na jedną z krawędzi nanorurkowej siatki podwiniętej pod ślizgacz, na której siedzieli wraz z Alice, by przypadkiem uderzenie burzy nie porwało osłony gdzieś dalej. Widział ileś razy taką burzę, ale w myślach musiał przyznać rację osiłkowi. Żadne z nich nie doświadczyło jej bezpośrednio.... Naraz pociemniało i w zagłębienie uderzyła lodowa burza, wymiatając z płuc całej trójki powietrze mimo masek tlenowych. Dziesiątki igieł niesione huraganowym wiatrem uderzało raz po raz z ogłuszającym szelestem w siatkę, zaklejając ją po chwili całkowicie. Dopiero wówczas zdołali spokojniej odechnąć. Spoglądali na siebie, łapiąc powietrze jak ryby wyrzucone na brzeg mimo bólu w przemarzniętych płucach katowanych niską temperaturą. Chief spojrzął ze zdumieniem na termometr, w ciągu zaledwie kilku minut temperatura spadła o niemal dziesięć stopni osiągając minus osiemdziesiąt dwa. Komputery w skafandrach uruchomiły elektryczne podgrzewanie a wskaźniki zasilania zaczęły szybko szybować w dół. Dudnienie wichury nie milkło, przytłumiał je tylko śniegowo-lodowy pancierz, który narósł wokół ich schronienia. Chief zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli wyjdą na zewnątrz, zginą po kilkudziesięciu krokach. Zagadką pozostawał sposób jak w takich warunkach mogliby utrzymać kierunek marszu i

## Incydent...

---

przejsć niemal sto kilometrów. W improwizowanym pomieszczeniu zapadła ciemność, rozpraszana nieco przez światło dostające się niewielkim wejściem, cały czas oczyszczanym ze śniegu przez Johana. W ciemnościach rozległo się ciche trzaśnięcie zagłuszone przez szum wichury i wnętrze rozjaśniło się słabym, zielonym blaskiem dochodzącym z niewielkiego, chemicznego świetlika, który chief zawiesił na konsoli sterowniczej pod którą siedział.

- Może rozpakujemy igloo - szcękając zębami z zimna zaproponowała Alice, wpatrując się w twarz przełożonego. Ten pokiwał głową i nie tracąc czasu na dyskusję, chwycił za pasy, które trzymały nieforemny pakunek. Jednym ruchem rozsunął suwak błyskawiczny i połowę dostępnej przestrzeni natychmiast zajęła szaro-biała masa tworzywa sztucznego. Chief począł przypinać ją do uchwytów widniejących wzdłuż obu burt odwróconego do góry nogami ślizgacza. Alice by mu nie przeszkadzać, zwinnie prześlizgnęła się obok, wsuwając się do środka rozkładanego namiotu. Uważała by nie uruchomić wypełniacza, co mogłoby się skończyć w ich sytuacji tragicznie. Wyobraziła sobie, jak pęczniejący namiot podnosi ślizgacz, by zniknąć w wichurze, wystawiając ich na przeźliwy mróz i skuliła się obejmując dłońmi ramiona. Moment później zapadła ciemność, gdy do niewielkiego schronienia wgramolił się Johan buchając kłębami pary ze swych potężnych płuc. Cała twarz i szeroki kaptur pokrywał szron łącznie z brwiami a dłońmi gwałtownie pocierał, starając się przywrócić w nich krążenie krwi. Dziewczyna przemogła chęć pozostania w najlepiej chroniącej ciepło embrionalnej pozycji i wyciągnęła z elastycznego schowka jednej ze ścian chemiczne wkłady ciepłne, podając je osiłkowi.

## Incydent...

---

- Dzdziki - jego szcęknięcie zębami musieli chyba słyszeć nawet Chińczycy z helikoptera. Widziała jak przełamuje oba pakiety i wsuwa je w specjalne płaskie kieszenie wszyte w wierzchnią warstwę zewnętrznych rękawic. Po dłuższej chwili usłyszała jego westchnienie ulgi, gdy ciepło z wkładów dotarło do zmrożonych dłoni. Wtedy do nieforemnego pomieszczenia utworzonego z rozpakowanego namiotu wpadło nieco słabej zielonej poświaty i cień sylwetki chiefa, otrzępującego się z lodowych igieł. Oboje z niepokojem dostrzegli kilka głębszych ran na czole dowódcy i porysowaną maskę śniegową. Nowo przybyły nic nie mówiąc, zamknął wejście suwakiem błyskawicznym i uruchomił chemiczny wypełniacz w klapie wejściowej, który po paru minutach utworzył niezbyt wysoki, metrowej wysokości tunel o sklepieniu w formie półokręgu. Główny zbiornik, mogący w parę chwil utworzyć igloo o średnicy podłogi trzech metrów i wysokości stania pozostał nietknięty. Alice z ulgą spostrzegła, jak chiefa przesuwają dalej i poprawiają zawleczkę tkwiącą w zaworze, zabezpieczając ją przed przypadkowym usunięciem. Dopiero teraz, w odpowiedzi na pytające spojrzenia obojga podwładnych, Armstrong odezwał się panując całkowicie nad swoim głosem, chociaż musiało być mu równie zimno jak pozostałym.

- Ustawiłem niewielki tunel z nanotkaniny<sup>4</sup>, mamy przynajmniej cztery, pięć godzin spokoju - wyjaśnił, uruchamiając chemiczne wkłady grzewcze ukryte pod podłogą.

- Wyłączamy ogrzewanie skafandrów - chiefa uniósł dłoń w górę, przerywając ewentualne protesty i ciągnął dalej.

- Energię musimy zaoszczędzić na powrót, na razie do cna wyczerpiemy możliwości namiotu. - Johan chciał zauważyć, że nierozwinięty namiot nie będzie ich dobrze

## Incydent...

---

chronił przed zimnem, ale po porannej nauczce wołał ponownie nie popadać w konflikt z przełożonym. Zgodnie z nakazem wyłączyli całkowicie zasilanie skafandrów i z niepokojem obserwowali delikatne obłoki pary unoszące się z dolnych powierzchni grzewczych. Temperatura wewnątrz rosła powoli osiągając niespełna minus piętnaście stopni Celsjusza. W słabej, zielonej poświacie termometr wykonany bezpośrednio na fragmencie poszycia namiotu wyglądał upiornie, jak gdyby chciał im wskazać przyczynę ich przyszłej zagłady. Wskaźnik tkwił w białym obszarze poniżej zera. Przez dłuższą chwilę panowało przygnębiające milczenie, sprawiające iż dobiegające z oddali wycie wiatru i szum lodowych igieł pobrzmiwały niczym aria pogrzebowa.

- Panie i panowie, nie składamy broni, pamiętajcie, że to początek zimy. Takie burze nie trwają zbyt długo - odezwał się naraz chief, wyciągając niewielką apteczkę lekarską. Spojrzał kolejno na twarz Alice i Johana. Nie spodobało mu się to, co w nich wyczytał toteż ciągnął silnym, mocnym głosem mimo paraliżującego chłodu.

- Zezwalam na zjedzenie po jednym wysokoenergetycznym pakiecie, co nas rozgrzeje. Johan, przemyśl temat konieczności wykonania przedłużenia tunelu i przygotuj sobie przynajmniej dwa pakiety rozgrzewające dla rękawic. Alice, zanim weźmiesz się do jedzenia, pomożesz mi z tym? - Zakończył zapytaniem, wskazując na otwartą apteczkę. Rudowłosa dziewczyna kiwnęła potakująco głową i nic nie mówiąc, wyciągnęła z otwartego, szarego pudełka oznaczonego czerwonym krzyżem dwa białe pakiety opatrunkowe nasycone enzymami wzmagającymi regenerację komórkową. Przez przełamanie uruchomiła świetlik umieszczony przy pudełku i wewnątrz zalało dość silne, białe światło, w którego blasku oceniła głębokość i oczyściła obie rany na czole dowódcy. Obserwował ją ze



## Incydent...

---

stoickim spokojem, skupioną na pracy. Wokół drobnych ust zaciśniętych w skupieniu unosiły się obłoczki pary oddechu. Ściągnęła kaptur, przeszkadzając jej w pracy. Ostrożnie nałożyła oba opatrunki, choć powątpiewała, że w takim zimnie ich lecznicza moc objawi się choć w części. W przeciwnym rogu namiotu szczęknął metal, gdy Johan przełamał chemiczny podgrzewacz jedzenia i w niewielkiej przestrzeni rozległ się smakowity, choć przesycony chemią zapach. Oboje jak na zawołanie spojrzeli na błogą minę osiłka, trzymającego w dłoniach gorący pojemnik przypominający zamknięty kubek o pojemności  $\frac{3}{4}$  litra i Alice wybuchła śmiechem w którym pobrzmiwała histeria.

- Jak niewiele wam, facetom potrzeba do szczęścia... - Johan wzruszył potężnymi ramionami i nie patrząc na nikogo mruknął w przestrzeń.

- Jedzonko to jedzonko - przysunął kubek do twarzy i wciągnął rozchodzący się wokół zapach przez szeroki nos. - O tak. - Potwierdził, jak gdyby sam nie wierzył w swoje słowa. Nawet Armstrong nie mógł się powstrzymać przed nikłym uśmiechem, uruchamiając własny zestaw. Posilali się w milczeniu, bez pośpiechu, nie patrząc na czas i rozmyślając nad słowami chiefa. Każda burza była zagadką i zazwyczaj im szybciej się zaczynała, tym szybciej kończyła.... Mimo tego, że na zewnątrz nadal zaciął lodowy deszcz, Lewis nim wyraził zezwolenie na sen, zaplanował warty. Pomny porannej nauczki, Johan tym razem nie oponował, chociaż pomysł, że ktoś mógłby ich podejść podczas burzy wydawał się delikatnie mówiąc niemądry i skazywał każdego kto postawiłby poważnie taką tezę, na kaftan bezpieczeństwa. Osilek skulił się pod jedną ze ścian, biorąc przykład ze śpiącej smacznie Alice nad którą unosiły się niewielkie obłoczki pary. Johan zasnął patrząc na chiefa siedzącego przodem do wejścia,

## Incydent...

---

starającego się zasłonić odkryty okular karabinu trzymanego w dłoniach improwizowanym pokrowcem...

\* \* \*

Pomarańczowe słońce powoli oderwało się od horyzontu, oświetlając nowo powstałe pole lodowe. Nieliczne karłowate krzaki leżały powyrywane pomiędzy ośnieżonymi wzgórzami. Kilka dotoczyło się aż do szerokich, maszynych płóz stanowiących podpory ciężkiego śmigłowca szturmowego. Trzech żołnierzy, ubranych w grube i ciepłe, szare skafandry kończyło zbijać niemal trzydziestocentymetrową warstwę lodu okrywającą wyloty spalin. Odłupane kawałki walały się wszędzie wokół, świadcząc o kilkugodzinnej, ciężkiej pracy. Wreszcie jeden z nich zastukał w pancerną płytę poszycia, zasłaniającą silnik i cała trójka sprawnie zeszła na zmrożoną pokrywę śniegu, oddalając się nieco od maszyny pokrytej gdzieniegdzie plamami lodu. Z wnętrza śmigłowca dobiegł niski dźwięk i przez obie heksagonalne kraty wylotowe zabezpieczone grubą tytanowo-ceramiczną siatką uderzyły gorące gazy spalinowe. Silniki nabrały mocy, gdy pilot przesunął przepustnicę a dźwięk począł się nieść daleko między lodowe wzgórza. Gorące gazy wylotowe natychmiast stopiły cały lód zalegający na grzbiecie kadłuba, ściekający w postaci kilku strumyków wody po burtach by zamarznąć w postaci spadających sopli. Trzasnęły boczne drzwi, gdy cała trójka schowała się we wnętrzu stalowego potwora. Czterołopatowe śmigło o zakrzywionych końcówkach leniwie zaczęło się obracać, z każdą chwilą coraz szybciej, podnosząc tumany zmrożonego pyłu i śniegu. Z rykiem silnika uniósł się w górę. Nieliczne płyty lodu na poszyciu pod wpływem drgań i działań włączonego systemu przeciw oblodzeniom odpadły roztrzaskując się w miejscu

## Incydent...

---

lądownia. Spod nich wyłoniła się niewielka, czerwona gwiazda z żółtym otokiem wymalowana na obu burtach. Szczęknięty żaluzje silnika, zasłaniając odkryte dotąd szeroko wloty, wyciszając znacznie dźwięk dwóch potężnych turbin napędzających śmigłowiec. Chińska maszyna nie wzniosła się wysoko, przechylając się naprzód i nabierając prędkości sunęła niespełna trzydzieści metrów nad lodową powierzchnią planety oddalając się na południe. Nad zimną, bezkresną pustynią znacznie zmienioną przez trzydziestosześciodzinną nawałnicę powoli zapadała cisza. Dopiero po pół godzinie oddalony o kilka kilometrów od miejsca lądowania śmigłowca, niewielki biały pagórek poruszył się i wysunął się spod niego krępy człowiek w biało-szarym skafandrze. Lewis opuścił trzymany w dłoniach karabin zamyślony wciąż spoglądając w kierunku południowego horyzontu za którym zniknęła maszyna przeciwnika. Dopiero po dłuższym czasie, przerywanym cichym szumem pracy maski tlenowej odwrócił się i zawołał w głąb niewielkiego, ostro schodzącego w dół tunelu.

- Łopaty w dłoń i wychodzimy z ciepłych pieleszy - odchylił maskę by nie tłumila głosu i zakrztusił się lodowatym powietrzem, które wpadło do płuc. Otarł załamane oczy i założył osłonę z powrotem. Chwilę później, rozpychając brzegi niewielkiego tunelu, pojawiła się głowa i szerokie ramiona Johana, z trudem przeciskającego się na powierzchnię. Przyglądając się jego wysiłkom, chief oparł dłonie na lufie karabinu wbitego kolbą w śnieg i mruknął tak by osiłek go usłyszał.

- Powtórka z urodzin Johan czyż nie? Raz już dałeś radę - Armstrong uśmiechnął się szeroko i dodał zgryźliwie - wierzę w ciebie, więc nie zawieź chiefa.

Johan ociężale wygrzebał się z tunelu, wstał i otrząpał patrząc spode łba na znacznie niższego Lewisa.

## Incydent...

---

- No nie wiem, za pierwszym razem było znacznie cieplej i mogłem się drzeć do woli. - Uśmiechnął się nieśmiało w obawie, że przesadził z przekomarzaniem się. Ale na twarzy chiefa nie było widać ani jednej rysy niezadowolenia. Byli zmarznięci, ale żadne z nich nie miało odmrożeń i zachowali siły. Mieli szczęście, że burza nie zaskoczyła ich na otwartej przestrzeni i była stosunkowo krótka. Chief dołączył do swych podwładnych, odkładając na bok karabin, by pomóc im odłupywać świeżo powstałą pokrywę z lodowych igieł. Gdyby poczekali dwa, trzy dni, żadna siła poza eksplozją nuklearną nie uwolniłaby już zasypanego ślizgacza. Każdy z pracujących odsłonił zewnętrzne pokrycie pleców skafandra odsłaniając kilkanaście rzędów elastycznych ogniw fotowoltaicznych, by naładować akumulatory. Pracowali szybko, na co pozwalała temperatura, która podniosła się do niespełna minus sześćdziesięciu stopni Celsjusza i nie była już tak dokuczliwa, zwłaszcza przy włączonym ogrzewaniu skafandrów. Mimo to, dopiero wczesnym popołudniem spod szarobiałej masy lodu wyłoniła się osłona śmigła. Obrócili pojazd dopiero po dwugodzinnej wyteżonej pracy. Teraz dopiero Lewis zajrzał do tunelu namiotu i włączył przycisk głównego wypełniacza. W ciągu niespełna pół godziny w zagłębieniu wyrósł namiot w kształcie igloo, osłonięty z zewnątrz kanciastą siatką maskującą, upodabniającą schronienie do niewielkiego, lodowego wzgórza. Cała trójka schroniła się wewnątrz, gdzie wszystkie powierzchnie grzewcze bez problemu podniosły temperaturę do ośmiu stopni powyżej zera i Alice musiała kilkakrotnie wylewać wodę, która zebrała się w zagłębieniach podłogi, słuchając rozmowy chiefa z Wilsonem.

- ...zamierzam pozostawić tu posterunek nasłuchowy, trzeba będzie tu dowieźć kilka wkładów grzewczych.  
- Przez dłuższą chwilę Lewis słuchał w milczeniu nie

## Incydent...

---

zwracając uwagi na ponury wzrok Johana, który sądził zapewne, że rychło wyruszą w drogę powrotną a treść rozmowy z zastępcą dowodziła czegoś wręcz przeciwnego.

- ...tak, chciałem zbadać wschodni kwadrat przed powrotem... - przerwał i spod oka spojrzął na grobową minę olbrzyma.

- Johan jest radosny jak zwykle.. - Słuchał przez chwilę i dodał z uśmiechem - przekażę mu. - Chwilę jeszcze rozmawiali, wymieniając najpotrzebniejsze informacje po czym wyłączył system łączności i spojrzął na dwójkę towarzyszy. Alice jadła z zapałem coś z parującej puszki, wydawała się nie przejmować zasłyszaną rozmową. Dla odmiany Johan siedział w jednym z nielicznych całkowicie suchych miejsc, w geście rozpaczy wpatrując się w kałużę wody zbierającej się dokładnie pośrodku namiotu.

- Jutro z samego rana ruszamy - Armstrong zdjął rękawice i zatarł nagie dłonie z zadowoleniem. Johan nie podzielał tej radości i pozostał ponury przez resztę wieczoru. Jego humor nie zmienił się, nawet gdy pozostała dwójka zaczęła grać za pomocą plastikowych kart a Alice udowodniła, że dwukrotny tytuł mistrzyni pokera „Price Town” nie został jej nadany bezpodstawnie.

\* \* \*

Na dziobie ślizgacza tworzyła się powoli skorupa lodu, w miarę jak pokonywali kolejne kilometry, zmrożony stalagmit powiększał się o kolejne warstwy zmrożonego pyłu. Johan obserwował go z ponurym zacięciem, nie rozglądając się na boki i nie uczestnicząc w rozmowie pozostałej dwójki. Wesoły szczebiot Alice drażnił go, wołał nie okazywać zdenerwowania, wciąż pamiętając o ostatniej

## Incydent...

---

reakcji chiefa na jego nerwowe zachowania. Ponurej miny nie rozpraszały oszałamiające widoki lodowych kanionów, przez które mknęli z dużą prędkością. Mijali wielometrowej wysokości potężne kolumny utworzone z połączenia stalagmitów i stalaktytów. Zwisły one dziesiątkami wśród wznoszących się po obu stronach półkolistych zagłębień w zlodowaciałych ścianach. Natura, korzystając ze zmniejszonego ciśnienia i słabszej grawitacji potrafiła tu stworzyć przepiękne rzeźby. Niektóre tak niezwykle, że aż ciężko było uwierzyć, że tworzącym je rylcem był wiatr, zmiany temperatury oraz odbijające się w lodowych powierzchniach światło gwiazdy, tak innej od ziemskiego Słońca. Nawet te widoki nie były w stanie wzbudzić w osiłku entuzjazmu, który ograniczył się do obserwacji obłego dziobu ślizgacza. Drgnął słysząc nagle jak silnik wzmacnia obroty, zmieniając skok śmigła na wsteczny i nagle poczuł silne uderzenie ciągu wiatru, który wtłoczył mu uchylony kaptur do samego końca. Dopiero teraz podniósł wzrok by zobaczyć co też takiego zmusiło Alice do nagłego hamowania. Najpierw jego wzrok prześlizgnął się po pękniętej kolumnie z lodu wyglądającej jak starannie wyrzeźbiony, falujący potok. Następnie dojrzał tkwiący w miejscu pęknięcia płaski fragment poszycia. Drugi, częściowo przykryty śniegiem, leżał tuż przed nimi. Rozejrzył się czujnie, widząc, jak Lewis odbezpiecza karabin, rozglądając się w poszukiwaniu celu. Chwilę później ślizgacz zaczął się lekko cofać, a chieł wy-skoczył z pojazdu, trzymając broń gotową do strzału. Johan chcąc nie chcąc, podążył za dowódcą, omal się nie wywracając gdy źle wymierzył miejsce lądowania. Jego stopa ukryta w szerokim, twardym bucie natrafiła na jedną z niewielkich szczelin, których w kanionie były setki. Osłona buta sięgająca niemal do połowy łydki nie pozwoliła na to by uszkodzeniu uległ staw skokowy, osiłek

## Incydent...

---

zachwiał się i postąpił krok naprzód trafiając na drugą szczelinę która go pokonała. Johan z hukiem wyłożył się jak długi amortyzując upadek dłońmi. Lewis odwrócił się na moment by zobaczyć co się dzieje a widząc jak podwładny zaczyna się podnosić, wrócił do obserwacji otoczenia nie zmieniając nawet na chwilę kamiennego wyrazu twarzy. Pechowiec wstał, otrzepał się ze śniegu i rozejrzał się dostrzegając to, na co spoglądał chief. Po prawej ścianie kanionu, niemal pionowo do góry biegła ścieżka śladów jakiejś chemicznej substancji, jakby ktoś puścił ją lecąc prostopadle do trasy, którą się poruszali. Armstrong podszedł do płyty leżącej na środku trasy, kucnął przy niej kładąc karabin na kolanach i uniósł nadspodziewanie lekki fragment płyty i obrócił w dłoniach. Natychmiast pobrudził rękawice czarnym popiołem, którym pokryta była zewnętrzna powierzchnia płyty. Lewis w milczeniu obejrzał dokładnie fragment poszycia. Zerknął na linię zielono-niebieskich plam zatopionych w lodzie. Obejrzał również drugi kawałek poszycia który musiał z ogromną siłą uderzyć w kolumnę by spowodować jej pęknięcie. Dopiero wtedy spojrzał na Alice i rzekł powoli.

- Chciałbym się mylić, ale to chyba jest z pojazdu kosmicznego. - Johan stojąc obok ślizgacza wzruszył ramionami i parsknął.

- Nonsens, te kawałki blachy mógł zgubić ten chiński rupieć.... - Chief uniósł do góry dłoń, przerywając wypowiedź osiłka. Obrócił płytę poszycia trzymaną w dłoniach, czarną powierzchnią do rozmówcy.

- Ten popiół powstał przy wchodzeniu do atmosfery, chyba nie sądzisz, że Chińczycy latają helikopterami na orbitę - przez chwilę mierzyli się wzrokiem - no nie szefie, ale myślę... - poczuł drobną dłoń Alice ukrytą w szerokich rękawicach na swoim potężnym ramieniu.



## Incydent...

---

- Robisz błąd - spojrzął na nią zdziwiony, widząc wesołe chochliki w ciemnobrązowych, dużych oczach.

- Nie myśl, od tego boli głowa... - poczerwieniał z lekka, na całe szczęście pod maską, więc nie do zauważenia przez pozostałych ale zanim obmyślił jakąś kąśliwą ripostę, głos Armstronga zmusił oboje do działania.

- Najprawdopodobniej pojazd leży gdzieś tam - chief wskazał lewą ścianę kanionu, zaraz za fragmentem pozycyia wciąż tkwiącym w kolumnie. - Alice podaj nam liny, zrobimy sobie z Johanem małą wycieczkę. - Kiwnęła głową, wyciągając z zasobnika pojazdu czterdziestometrowy zwój lekkiej, wytrzymałej liny ze zbrojonego polimeru. Nie była grubsza od kciuka, ale mogła wytrzymać nawet trzy tony obciążenia. Johan odebrał od dziewczyny cały pakunek łącznie z pistoletem do wstrzeliwania szerokich gwoździ alpinistycznych. Osilek stanął przed ścianą i metodycznie, co metr do góry, wstrzeliwał gwoździe zagłębiające się w ścianę wraz z liną wiszącą na ich zakończeniach. W niespełna dziesięć minut utworzył linowy szlak wiodący na piętnastometrową ścianę lodu tworzącą jedną ze ścian kanionu. Nim zdążył schować pistolet wraz z resztą liny do szerokiej kieszeni znajdującej się tuż poniżej linii fotoogniw skafandra, na ścianie był już chief. Wspinał się w górę ze zręcznością o którą trudno byłoby posądzać tego krępego surowego mężczyznę. Błyskawicznie, chwyt za chwytem wędrował w górę, nie zwracając uwagi na broń przewieszoną przez plecy i objającą się przy każdym ruchu. Gdy dotarł na wąską, śliską grań na szczycie, jednym rzutem ciała znalazł się na niej, bacząc by nie spaść na drugą stronę, może nie tak stromą, ale również niezbyt bezpieczną a na pewno wyślizganą przez wiatr. Komputer rejestrując spadek ciśnienia poniżej bezpiecznej wartości natychmiast uruchomił dopływ tlenu do maski śniegowej. Armstrong czując linę drgającą

## Incydent...

---

pod chwytami wspinającego się Johana, przesunął się nieco dalej od metalowego uchwytu, nie spuszczać oczu z imponującego widoku, rozciągającego się z tej wysokości. Jak okiem sięgnąć rozciągała się biała lodowa pustynia upstrzona fantazyjnymi kształtami lodowych wzgórz, girlandami lodowych firanek i niesamowitych kształtów iglic, które nigdy nie mogłyby powstać na Ziemi. Chief dostrzegł coś jeszcze, zielono-niebieski ścieg w lodzie i czarny ślad popiołu na jednym ze zboczy. Obok pojawiły się potężne dłonie i ramiona Johana, który okrakiem usiadł na grani, dobył pistolet linowy z przepastnej kieszeni i zaczął wytyczać drogę zejścia. Armstrong wykorzystał ten czas, by rozejrzeć się przez celownik optyczny i upewnić się, że w okolicy nie czają się niespodzianki, po czym podążył za Johanem ześlizgującym się w sposób kontrolowany po ścianie. Niespełna pięć minut później byli na dole, podążając śladem utworzonym przez wyciekające substancje. Minęli wzgórze z wyrytym na zboczu śladem pokrytym drobinami czarnego popiołu i wtedy natknęli się na końcówki linek sterujących ze spieku węglowego, częściowo wtopione w lód. Rozejrzeli się obaj ostrożnie ale to Johan dostrzegł nieregularny kształt sto metrów przed nimi, wyglądający niemal jak jedno z lodowych wzgórz. Spod śniegu wystawała przyczerniona końcówka skrzydła ciężkiej paralotni, sztywna od lodu i zmrożona niską temperaturą.

- No to mamy naszego chińskiego towarzysza - mruknął chief rozglądając się uważnie wokół. Jeśli miał rację, to pobratymcy mogli już zacząć szukać swego towarzysza. Nie spodziewał się wybuchu radości, gdy zorientują się, że do rozbitka pierwsi dotarli autochtoni. Lodowe wzgórze otaczające ich zewsząd były puste i nic nie wskazywało na obecność jakichkolwiek żywych istot, nawet gdy Armstrong przepatrzył teren w pasywnym trybie

## Incydent...

---

podczerwieni. Dla bezpieczeństwa podeszli do skrzydła z obu stron, gotowi na pierwszy odgłos strzału paść na ziemię. Ale nic takiego się nie wydarzyło i dotarli do niewielkiej lodowej diuny bez przygód.

- No Johan, czas na twój biceps - chief rzucił z przekąsem, opierając kolbę karabinu na biodrze. Osilek wydał usta pod maską, wiedząc, że przełożony tego nie widzi i podszedł do fragmentu skrzydła, słysząc stłumiony głos Armstronga.

- I nie nadymaj się tak... - puścił tę uwagę mimo uszu. Oparł swe potężne dłonie niczym ciężarówiec o sztywny róg paralotni i zaciskając zęby uniósł z wysiłkiem w górę. Chief z zadowoleniem patrzył jak Johan centymetr za centymetrem podnosi skrzydło wraz z dziesiątkami kilogramów lodu leżącym na nich. Uśmiech na jego wąskich ustach zamarł, gdy ujrzał wyłaniający się spod spodu pocerniony fragment poszycia wraz z emblematem Federacji Ameryki Północnej. Błyskawicznie przewiesił karabin przez plecy i stanął obok Johana. Razem zsunęli nieco trzeszczącą płachtę, w jaką zmieniło się skrzydło, powodując miniaturową lawinę lodu i śniegu po przeciwnej stronie. Teraz poszło łatwiej, bez problemu przesunęli zeszywniałą tkaninę na tyle, by spod niej wyłonił się kształt kapsuły ratunkowej - kokpitu myśliwskiego pojazdu orbitalnego. Armstrong z niepokojem oglądał popękany bok osłony osmalony jakimś wybuchem. Cały dół niewielkiego pojazdu pokryty był grubym, czarnym nalotem przykrytym już warstewką lodu. Próbowali coś dojrzeć poprzez zamrażającą, szklaną tafłę, ale dopiero gdy Johan popryskał powierzchnię substancją rozmrażającą, fragmenty lodu zaczęły się zsuwać w dół, odsłaniając zaparowane wnętrze. Lewis gorączkowo oczyszczał tylni fragment poszycia kapsuły odnajdując ręczny mechanizm otwierania osłony. Mimo kilkakrotnych prób otwarcia

## Incydent...

---

przez Armstronga nawet nie drgnęła. Gdy do pracy zabrał się Johan, po chwili w rękę została mu dźwignia otwierania ręcznego a kokpit pozostawał zamknięty jak szwajcarski sejf.

- Spokojnie - wymruczał chief siadając na dziobowej części kapsuły. Zamyślił się na moment i odczuł potrzebę solidnego kopnięcia się w siedzenie. Hydraulika, zamrznięta na kość, nie miała prawa działać bez zasilania, ale były jeszcze pironaboje pozwalające w sytuacji awaryjnej na odstrzelenie osłony zarówno ze środka jak i z zewnątrz. Popatrzył na Johana na co osiłek, sądząc, że znów coś zrobił nie tak, wypalił.

- Szefie, nie moja wina, że te uchwyty to takie bzdurki. Jak pragnę zdrowia, nie chciałem go urwać... - Armstrong spojrział na niego zdumiony i rzekł przerywając jego tłumaczenia.

- O czym ty mówisz synu? - Johan wskazał na część uchwyty wciąż trzymanego w sękatej dłoni. Uniósł go w górę, by pokazać Armstrongowi.

- No o tym uchwycie - chief pokręcił głową i na moment ukrył ją w dłoniach by opanować wybuch śmiechu. Gdy podniósł wzrok, z całkowitą powagą powiedział.

- Pamiętki chowaj do kieszeni, po prawej stronie kokpitu powinna być kłapa awaryjnych ładunków pirotechnicznych. - Razem dokonali oględzin. Niestety, cała burta kapsuły była zasłonięta okazałym fragmentem lodu a ciężki kokpit mimo zdwojonych wysiłków obu nie dał się poruszyć. W trakcie tych bezowocnych prób poruszenia góry metalu, na kanale łączności krótkiego zasięgu odezwał się zdenerwowany głos Alice, zaniepokojonej dwugodzinnym milczeniem towarzyszy. Armstrong objaśnił jej sytuację po czym wysłał Johana po narzędzia, starając się odgadnąć nazwisko pilota zazwyczaj wypisane poniżej osłony, tam gdzie widniał ślad po niewielkiej eksplozji

## Incydent...

---

czy uderzeniu. Czekaając na powrót podwładnego starannie obejrzał całą kapsułę, pogrzebał chwilę przy hydraulicie by się przekonać, iż rzeczywiście brak jest ciśnienia w układzie. Pomarańczowe słońce chyliło się już ku zachodowi, rzucając długie cienie, gdy pojawiła się ogromna sylweta Johana. W prawej dłoni trzymał krótki kilof i ostrą saperkę stanowiących wyposażenie ślizgacza. W ogromnej łapie osiłka wyglądały jak zabawki, ale doskonale nadawały się do rozbicia lodu z prawej strony kapsuły. Bez zbędnych rozmów stanęli obok siebie, tak by nawzajem sobie nie przeszkadzać i zaatakowali przeszkodę z zaciekłością dzikiego zwierza. Powoli zaczęła spadać temperatura, będąca pierwszą zapowiedzią zimy, co spowodowało jeszcze wzmoczenie wysiłku obu mężczyzn. Johan jak w jakimś amoku odrzucał całe kawały lodu wydłubane z twardej powierzchni, wyładowując swą złość na bezosobowym kawałku lodowej powierzchni. Nie minęła godzina, jak uderzenia kilofa prowadzone wielkimi dłońmi olbrzyma odsłoniły niewielką klapę, kryjącą zapalnik pironaboi. Chief odsunął swego zadyszanego towarzysza i ukląkł przy ścianie kapsuły. Wprawnie usunął blokadę i metal ustąpił ukazując niewielki klucz w plastikowym uchwycie obok stacyjki z dwoma położeniami - „safe” i „fire”. Przebiegł oczami po krótkiej notatce umieszczonej na plakietce obok uchwytu, zerwał klucz i wsunął go do stacyjki. Czerwona dioda przy „safe” zajarzyła się słabym światłem.

- Odsuń się na bok, odpalam! - Krzyknął do Johana oddychającego ciężko po wysiłku rąbania lodu. Kiwnął głową, cofając się za plecy chiefa. Usłyszał cichy sygnał dźwiękowy, gdy Armstrong przekręcił klucz i powietrzem targnęła seria niewielkich synchronicznych eksplozji wzdłuż obu boków osłony kokpitu. Ostatnia eksplozja, znacznie mocniejsza odrzuciła osłonę pod kątem czter-

## Incydent...

---

dziestu pięciu stopni do tyłu. Nawet Lewis nie wiedział czego się spodziewać, a już tego najmniej. Obserwowali w zdumieniu jak potrzaskana, zmrożona osłona przelatuje jakieś piętnaście metrów nad nimi by z ogłuszającym trzaskiem zderzyć się z powierzchnią lodu. Nawet wtedy przyniosła chlubę swym twórcom, nie rozprysła się bowiem od uderzenia. Mimo braku usztywniających zakończeń, które zniszczyły pironaboje, z osłony nie wykruszył się ani jeden fragment pancерnej szyby. Pojawiły się na niej jedynie wydłużone, powierzchniowe pęknięcia. Armstrong po dłuższej chwili odwrócił się by spojrzeć na wnętrze kapsuły i serce podjechało mu do gardła widząc bezwładną, zakrwawioną postać z głową osłoniętą hełmem pilota opuszczoną na piersi.

- Johan, śpiwór termiczny, na jednej nodze! - Wrzasnął, doskakując do odsłoniętego kokpitu. Dopiero teraz mróz osadzał szron na wciąż ciepłej tablicy przyrządów i kosmicznym skafandrze. Dostrzegł niewielki obłoczek pary unoszący się przy głowie pilota. Oparł dłoń o hełm i ostrożnie go podniósł, dojrawszy pod przezroczystą, przeszkloną osłoną kasku bladą twarz i zaschniętą krew wokół ust.

- Wiliam Roen - szepnął chief, odpinając w pośpiechu pasy nieprzytomnego pilota. Kątem oka dostrzegł wysoką sylwetkę Johana niosącego duży pakunek. Usłyszał trzask dartego pokrowca, gdy osiłek bezceremonialnie „rozpakował” śpiwór i rozwinął go.

- Włącz wypełniacz, może mieć uszkodzony kręgosłup - rzucił przez ramię chief, starając się zlokalizować ranę pilota. Dostrzegł ją po dłuższej chwili. Niemal trzycentymetrowa dziura w skafandrze, zasłonięta syntetycznym wypełniaczem, który z pewnością zablokował również upływ krwi bezpośrednio z rany. Pomyślał z nie-

## Incydent...

---

pokojem o obrażeniach wewnętrznych ale obok już pojawił się Johan.

- Dźwigamy go? - Zapytał, wpatrując się w bezwładne ciało z dziwną fascynacją. Chief potwierdził mrużąc coś niezrozumiale i przesuwał się w stronę dziobu kapsuły.

- Tylko ostrożnie niedźwiedziu - mruknął cicho, jak gdyby cała zjadliwość charakteru nagle gdzieś zniknęła i zastąpiło ją współczucie. - Sądzę, że oberwał w kręgosłup. - Osilek ze zrozumieniem kiwnął głową i wsunął potężne dłonie pod pachy nieprzytomnego i delikatnie niczym ładunek nitrogliceryny dźwignął w górę bezwładne ciało, jak maszyna, bez żadnego drżenia mięśni czy zachwiań. Potężne ramiona niczym tłoki maszyny wywinęły rannego. Chief chwycił go za bezwładnie wiszące nogi i razem ostrożnie ułożyli go wprost na otwartym śpiworze. Chemiczny wypełniacz utwardził jeden z boków śpiwora tworząc sztywną, twardą podstawę. Johan natychmiast zasunął błyskawiczny suwak śpiwora i przełamał dwa chemiczne wkłady grzewcze. Obserwował przez moment płaski termometr naszyty przy elastycznej szybie przesłaniającej otwór wejściowy do śpiwora. Temperatura szybko rosła w górę, szybko osiągając wewnątrz dwadzieścia stopni Celsjusza. W tym samym czasie chief dokonał dokładnych oględzin kokpitu, który zdążył już pokryć się szronem. Zasepiony dostrzegł przebitą fotel i otwór w desce rozdzielczej. Pilot musiał zostać przeszyty jakimś pociskiem na wylot, a Armstrong orientując się w arsenale zazwyczaj używanym w otwartej przestrzeni, rozważał ponuro, że pilot powinien się cieszyć, że przeżył trafienie. Ręką wskazał Johanowi leżące wciąż, sztywne skrzydło i nasunęli je z powrotem na kapsułę, by jej ciemne wnętrze nie rzucało się w oczy obserwatorowi z powietrza. Następnie przetransportowali



## Incydent...

---

rannego pod wznoszącą się wysoko grań kanionu. Johan aż przysiadł, obserwując szybką pracę chiefa, który ściągnął zewnętrzne, dwupalcowe rękawice i pozostał w zwykłych, wewnętrznych, tworząc plecionkę z pozostałej liny, by móc równomiernie podnieść śpiwór z pilotem. Po niecałej godzinie, gdy Alfa Centauri B wisiała tuż nad horyzontem, rzucając długie cienie, wywindowali rannego i niczym jajko opuścili na dół wprost w ramiona Alice. Godzinę później byli w drodze, choć zapadła noc a jak doskonale pamiętała Alice i Johan, ich przełożony zarzekał się, że pierwszy który spróbuje nocnych przejazdów zasmakuje dożywotniego czyszczenia ustępów szczoteczką do zębów. Chiefa niepomny na własne ostrzeżenia, osobiście ujął stery pewnie prowadząc pojazd pomiędzy wzgórzami. Oświetlenie zmniejszone do minimum nie pozwalało przekraczać trzydziestu kilometrów na godzinę. Armstrong niepomny na nic uparcie parł do przodu, podświadomie czując, że życie rannego zależy od szybkości z jaką zdoła go oddać w ręce lekarza pokładowego. Czuł lodowe języki mrozu, wdzierające się powoli pod rękawice i już się zaczął zastanawiać nad wkładami rozgrzewającymi gdy dostrzegł ciemny masyw wzgórza, przesłaniającego część rozgwieżdżonego nieba. Zwolnił i w ostatniej chwili minął niskie ale kanciaste wzgórze, unikając rozbięcia pojazdu. Zaklął cicho pod nosem, kierując się wprost na wzgórze widoczne daleko w oddali.

- Chyba jesteśmy już w domu? - Senny głos Alice obudził w chiefa dawno nieodczuwane przez niego uczucia. Czy to była burza, którą przeżyli pod ślizgaczem, czy ranny pilot? Nie wiedział tego, ale z pewnością ten długi, kanciasty kontener, wypełniony gwarem rozmów, gdzie każde z nich miało niewiele ponad dwa metry własnej powierzchni stał się ich domem. Ciasnym, niezbyt reprezentacyjnym ale ciepłym i bezpiecznym o który w razie

## Incydent...

---

potrzeby będą walczyć choćby do końca. Z lekkością w sercu prowadził ślizgacz aż do kawerny, zatrzymując się najbliżej tunelu jak to tylko było możliwe. Widząc jak Johan z Alice odpinają śpiwór z rannym, uruchomił łączność NSR. Po dłuższej chwili zgłosił się zaspanym głosem operator, który słysząc głos dowódcy natychmiast się rozbudził.

- Jak jeszcze raz zaśniesz przy konsoli, urwę ci jaja Henry - powiedział zjadliwie Lewis i dodał spokojniejszym głosem.

- Obudź Doroty, niech przygotuje salkę operacyjną, mam dla niej pacjenta.

- Na rozkaz - usłyszał przepraszający głos operatora i jego krzyk do kogoś w pomieszczeniu. Trójka wędrowców ostrożnie uniosła śpiwór i podążyła wąskim korytarzem wprost ku niewielkiej kolonii. Widząc odrapany właz prowadzący do wnętrza kontenera, cała trójka westchnęła z ulgą. Johan jedną dłonią otworzył szeroko grubą płytę i razem wsunęli śpiwór do środka, wprost w ręce zaskoczonych kolonistów stojących przy wewnętrznych drzwiach, spodziewających się, że wypadkowi uległ jeden z członków załogi. Śpiwór przechodził z rąk do rąk, z troskliwością przenoszony do wnętrza kontenera. Armstrong szedł za nim, w biegu pozbywając się części skafandra. Gdy dotarł do niewielkiego ambulatorium, ranny leżał już na stole operacyjnym a górna część śpiwora odpięta całkowicie, leżała pod ścianą. Jeden z kolonistów ostrożnie ściągnął hełm a nad bezwładnym ciałem pochylała się wysoka, chuda jak szkielet Dorothy Roscoe mająca niemal pięćdziesiąt lat, lekarz medycyny ogólnej. Jej przedwcześnie pomarszczona twarz z uwagą obserwowała bladą twarz rannego, nie zdradzającą oznak życia. Widząc wchodzącego Lewisa, jej twarz rozjaśnił krótki, su-

## Incydent...

---

chy grymas mający pełnić rolę uśmiechu i zapytała swym ciętym, ostrym głosem.

- Był przytomny jak go znaleźliście? - Chief pokręcił przecząco głową i odpowiedział zmęczonym półgłosem.

- Leżał w rozbitej kapsule ratunkowej, ale raczej niezbyt długo, w środku jeszcze było ciepło. - Kobieta splótła dłonie za plecami spoglądając w zamyśleniu na rannego. W drzwiach pojawił się jeden z kolonistów trzymając płazmowy palnik krótkiego zasięgu do przecięcia skafandra, gdy wtem cała trójka dostrzegła, jak ranny z wysiłkiem otwiera oczy. Coś chciał powiedzieć i z ust strużką pociekła krew. Armstrong podszedł do stołu i nachylił się nad nim.

- Gdzie jeste..m - wyrzucił pilot, zamykając oczy.

- W domu - odpowiedział chief a surowych zazwyczaj wyraz jego oczu zmieniło współczucie i pojawiły się w nich krople łez gdy powiedział półgłosem.

- Jesteś w domu mój synu...

## EPILOG

Długi szereg żołnierzy stał wyprężony na baczność a odległa gwiazda centralna układu odbijała się pomarańczowym blaskiem w wyglansowanych na połysk guzikach i czarnych, reprezentacyjnych butach. Czerwone wyłogi odznaczały się na jednolitych, ciemnozielonych mundurach. Po obu stronach dwuszeremu stały ciężko opancerzone czołgi i szeregi egzozkieletów. Jeden z nich, z pokierszowanym pancerzem, stał przed dwuszerem, niczym samotny wojownik. Mimo mrozu, żołnierze stali nieruchomo. Wraz ze swymi dowódcami, wysuniętymi

## Incydent...

---

pół kroku przed szereg wpatrywali się w nadlatujący śmigłowiec. Ten zatoczył koło nad oddziałem i z łopotem wylądował podnosząc drobiny piasku i pyłu uderzający w nieporuszony niczym mur ludzkich ciał. Gdy potężne, pięciołopatowe śmigło znieruchomiało, trzasnęły ciemnozielone, boczne drzwi ukazując surowe wnętrze maszyny szturmowej. Nic nie świadczyło o tym, że przewozi kogoś znacznego. Lekkim krokiem wysiadł z niego Zhang Yimou, głównodowodzący Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w obszarze Alfa Centauri. Mimo szczupłej i niskiej postury nie dało się nie zauważyć respektu z jakim zebrani wojskowi obdarzyli generała. Mroźne powietrze przeszył krótki szczekliwy rozkaz i oba szeregi wyprężyły się na baczność. Generał przeszedł wzdłuż nich, uważnie lustrując mundury. Po długiej chwili zawrócił ku uszkodzonemu egzoszkieletowi, stając obok. Przemowa nie trwała długo, ale twarze szeregowców i oficerów jaśniały z dumy. Głównodowodzący był niezwykle oszczędny w słowach i tego samego oczekiwał od swych podwładnych. Przed szereg wystąpił pilot-podoficer pokierszowanego pojazdu. Prawe przedramię krył gruby opatrunek, ale sierżant parł naprzód sztywnym krokiem paradnym. Stał wypreżony na wyciągnięcie ręki od generała, opuszczając obie ręce wzdłuż nóg. Dowódca uściśnął mocno dłoń znacznie od niego wyższego pilota. W blasku słońca zajaśniała srebrna otoka błękitnej rozety trzymanej w generalskim ręku. Stojący obok adiutant usłużnie odpiął żołnierzowi jedną z kieszeni by generał mógł łatwiej przypiąć odznaczenie bohaterowi niespodziewanej, nocnej walki. Order Wojskowy Niebieskiego Nieba i Białego Słońca, najwyższe odznaczenie armii chińskiej, który w obszarze Alfa Centauri nosiły zaledwie dwie osoby, teraz spoczął na trzeciej piersi. Wyróżniony podoficer odwrócił się i sztywnym krokiem odmaszerował witany

## Incydent...

---

trzykrotnym okrzykiem przez towarzyszy z zazdrością patrzących na niebiesko-srebrną rozetę. Stanowiła przepustkę do szczęścia, do małżeństwa, na które każdorazowo zgodę musiało wyrazić dowództwo, wreszcie otwierało drzwi ku niesamowitej karierze. Zhang Yimou z zamiśleniem spoglądał na sierżanta niksącego w szeregu młodych i pełnych energii twarzy wpatrujących się w swego gównodowodzącego. Oto złożyli w jego rękach swój los a on ich poprowadził do boju w pierwszej bitwie nowej wojny. Nowego konfliktu, tłącego się od siedemdziesięciu lat w układzie Słonecznym, który o ironio! Wybuchł w najmniej oczekiwanym miejscu. Wygrali, rozewrali jankesów na strzępy, nie pozwolili zniszczyć windy orbitalnej a ucieczka amerykańskiego kosmolotu nic nie znaczyła. Obserwatoria Toliman Prime meldowały, że oddała się z prędkością niespełna dziesięciu procent C5 na trajektorii w kierunku Proximy Centauri. Generał był pełen uznania dla przeciwnika, który wolał poświęcić swe życie w stalowym więzieniu niż oddać kosmolot w ręce wroga. Poradzili sobie znakomicie a teraz mieli przynajmniej dziewięć lat spokoju, by utworzyć na powierzchni szanice na których odsiecz Federacji Północnej Ameryki6połamię sobie zęby. Czekala ich tytaniczna praca, ale dziś, w tej chwili mieli czas by świętować. Pierwsze zwycięstwo nad odwiecznym przeciwnikiem. Generał uśmiejając się do swych myśli, wsiadł do śmigłowca i zasalutował siarczyście, na co odpowiedzią był jednoczesny gest wszystkich żołnierzy, w postawie na baczność żegnający swego dowódcę. Śmigłowiec powoli nabral prędkości znikając w oddali, gdzie spomiędzy chmur, niczym biblijna wieża Babel wyłaniała się wstęga windy orbitalnej, łagodnie falująca pod wpływem naprężeń grawitacyjnych.

### KONIEC tomu 1

- 1 1 jednostka astronomiczna (AU) ok. 150 000 000 km
- 2 Tokamak – reaktor termojądrowy.
- 3 Karabinek piechoty strzelający bezłuskową amunicją zespoloną 4,5mm
- 4 Tkanina wykonana z nanorurek węglowych
- 5 Prędkość światła 299 792 km/s
- 6 Federacja Ameryki Północnej ( Federation of North America) FNA